

TYGODNIK LITERACKI

Nr 11 (25) • Rok II • 17 MARCA 1991
ISSN 0857-1257 • Nr indeksu 379589 • Cena 2500 zł

KURSKI - JAK POWSTAŁA KSIĄŻKA O LECHU ■ ROZMOWY Z POLSKIMI „SADYSTAMI” ■ DE SADE - PORNOGRAFIA CZY FILOZOFIA ■ PROZA - BATAILLE, DE SADE, KLOSSOWSKI ■ SURREALIŚCI O MIŁOŚCI ■ KOZŁOWSKI - REFLEKSJE LIBERAŁA ■ KOPCIŃSKI O KSIĄŻCE BARAŃCZAKA

Erotyzm i poszukiwanie absolutu

rozmowa z Bogdanem Banasiakiem

- Jesteś prezesem Towarzystwa im. Markiza de Sade - jednego z nielicznych w kraju, może nawet jedyne stowarzyszenia, któremu sąd odmówił rejestracji.

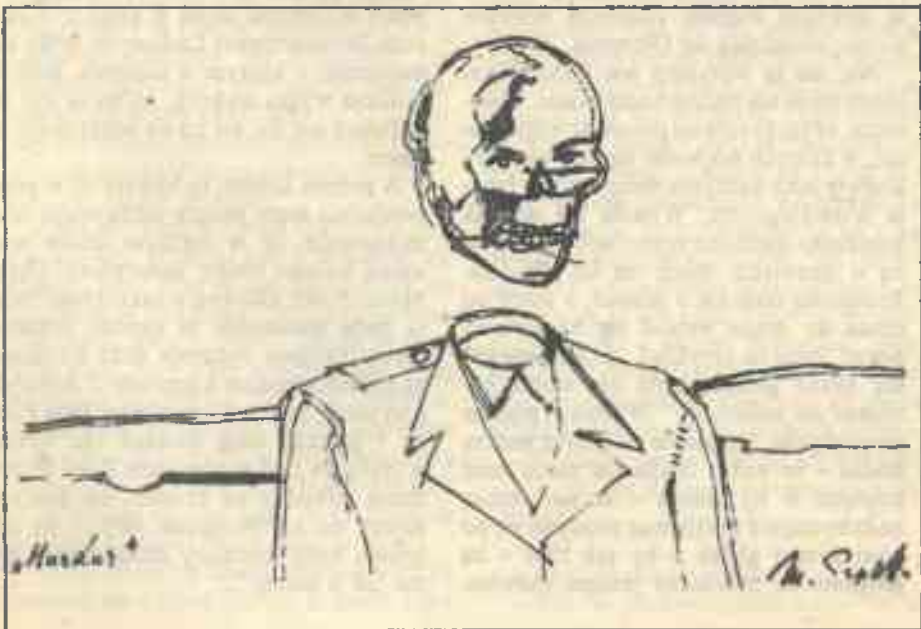
- Istotnie. Należałoby tylko dodać, że prezesem równie nieoficjalnym, jak nieoficjalne jest samo Towarzystwo.

- Jak narodził się pomysł Towarzystwa, którego patronem jest de Sade, postać mocno kontrowersyjna?

- Wraz z moim przyjacielem, Krzysztofem Matuszewskim, zajmujemy się Sade'em blisko dziesięć lat - efektem tego jest kilkanaście tekstów krytycznych i kilka przekładów. Z powodzeniem więc można mówić o pewnej pasji. Można też mówić o czymś, co nazwałbym ideą poszukiwania wspólnoty myśli. A obok tego należy wspomnieć przynajmniej o dwu motywach nieco bardziej konwencjonalnych. Ponieważ obłogowe widzenie de Sade'a jest w gruncie rzeczy jednym wielkim nieporozumieniem - kojarzy się on zwykle z sadyzmem, w najlepszym zaś

...ypadku z pornografią - a interpretacje jego myśli nie wykraczają poza horyzont Oświecenia, niewiele mówiący o Markizie, intencją naszą było przybliżenie istotnego oblicza de Sade'a: często znakomitego pisarza (warto na przykład podkreślić, że jego powieść *Alina i Valcour* konstrukcyjnie przewyższa wszystko, czego dokonano w powieści epistolarnej, i może być porównywana z klasyką powieści lotrzykowskiej) oraz głębokiego i - co istotne - aktualnego myśliciela. Mielśmy też na względzie artykulowanie tych wątków i zjawisk, które w kulturze polskiej są niemal nieobecne, a już z pewnością niedostatecznie znane. Gdzieś w punkcie zetknięcia - czy zbliżenia - tych motywów powstał pomysł zawiązania Towarzystwa. Idea taka dłuższy czas zresztą powracała i ulegała pewnym modyfikacjom - ostatecznie Towarzystwo im. Markiza de Sade powstało w czerwcu 1989 roku.

dokończenie na s. 7



MAREK SAPETTO

Mariusz Baryła

Kiedy myślę o twoich różowych kółeczkach

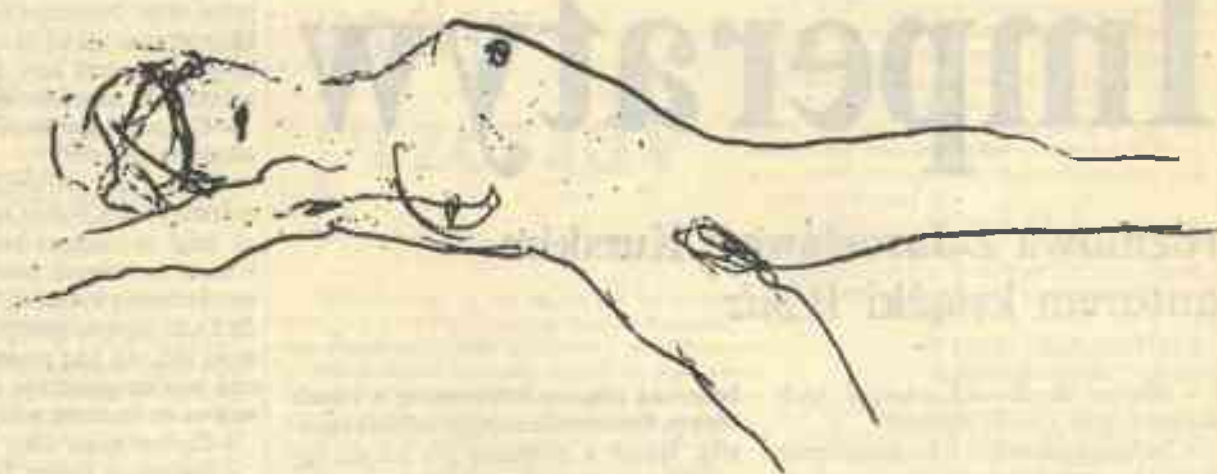
to chcę podzielić się swoją radością z katechetkami o dłoniach śliskich i białych jak rasowe glisty chcę odsłonić ich habity by słońce otuliło swym ciepłem motylko ich cipek rude puszyste włoski dziewicze i miękkie przestrzenie gdzie nie dotarł nawet boski Fryderyk Engels w skórzanej bieliźnie choć to dla niego pasy nabijane ćwiekami kajdanki kolczaste prezerwatywy i sypialnie kastratów gdzie nikt nie tęskni za utraconą sprawiedliwością.

Nadchodzi błąd szczupły mężczyzna multimilioner polskiego pochodzenia w otoczeniu nimfomanek kobiet-lam kobiet-węży srebrnych psów czuwających w nocy przy pobożnych córkach. Alfredzie twój orszak witam i siostry twoje - bliźniaczki czterojęzyczne mieszkające blisko ciebie w miejskiej czytelni pośród roczników przedwojennych pism ilustrowanych płaczem wdów i histerią zgwałconych na mostach dziewczynek. Alfredzie twój oddech wspominam jak mongolskie stopy.

Pijany tandem masochistów - Dick Selving i Don Riley autorzy bestseleru pt. „Nie piję”. To do was zmierza gigantyczny kac większy od wszystkich basenów świata. Uczcie się pokory przyjaciele od Seneki Młodszeo z jego delirycznych sentencji. Uczcie się pokory od Serbów z rybimi łuskami zamiast oczu. Uczcie się pokory od W. H. Audena - teoretyka angielskiego romantyzmu. Uczcie się pokory od Hieronima Szczura i jego kochanki Mary Wollstonecraft i jej albańskich przyjaciół.

A teraz ty któremu mózg przyrósł do stóp. Witam twojego wielorybiego penisa strzelającego na wiwat czerwoną farbą. Zazdroszczę ci wiary w mężczyznę który potrafi utrzymać przy sobie kobietę która go nie kocha. Rozdaj więc swoje życie i swoje znaczki pocztowe. Bądź gotów do poświęceń rozluźnij się podczas powietrznych pogoni za swoją małą kurewką. Bądź miłosierny życzliwy dla swoich wrogów i bądź wierny żółtej fladze uszytej ze wszystkich płócien van Gogha.

Od stycznia 1928 do sierpnia 1932 roku André Breton organizował „seanse”, na których jego przyjaciele surrealiści mieli szczerze opowiadać swoje doświadczenia i fantazje seksualne. Zapis z tych spotkań został opublikowany po raz pierwszy kilka miesięcy temu przez wydawnictwo Gallimard pod tytułem „Recherches sur la sexualité” jako czwarty tom „Archives du surréalisme”.



JERZY STAJUDA

Seanse surrealistyczne

Seans drugi

André Breton – Jak Aragon uważa, do jakiego stopnia erekcja jest niezbędna dla spełnienia aktu seksualnego?

Louis Aragon – W pewnym stopniu erekcja jest konieczna, ale jeśli chodzi o mnie, to moje erekcje zawsze są niepełne.

André Breton – Czy uważasz to za rzecz godną pożałowania?

Louis Aragon – Jak wszystkie rozczarowania natury fizycznej, ale nie bardziej. Nie żałuję tego bardziej niż tego, że nie mogę unieść w palcach fortepianu.

Marcel Duhamel – Czy Aragon przywiązuje większą wagę do przyjemności mężczyzny czy kobiety?

Louis Aragon – W zasadzie to zależy, jak kiedy. (...)

Seans piąty

Raymond Queneau – Kiedy i w jakich okolicznościach obecne tu osoby utraciły dziewictwo? Péret?

Benjamin Péret – W wieku około 13–14 lat z sąsiadką, której mieszkanie stykało się z moim rodziców przez balkon. Wystarczyło przekroczyć oddzielającą je kratę, żeby znaleźć się w pokoju tej młodej osoby. Kiedy próbowałem za pierwszym razem, nie udało mi się. Miałem wiele trudności z doprowadzeniem do końca aktu seksualnego.

Marcel Duhamel – W wieku lat 16. Z kobietą, którą spotkałem na bulwarze Madelaine i która mnie zaprowadziła do domu publicznego na rue de Séze. Wrażenie strasznego rozczarowania.

Jacques Prévert – Straciłem dziewictwo w wieku 13 lat z kobietą w miejscu, gdzie znajduje się liceum Fenelona, w przejściu. Ze wstrętną kobietą (na ścianie wisiała przypięta pinezka pocztówka przedstawiająca Carpentiera). Jeśli chodzi o wrażenie...

Raymond Queneau – Dnia 18 marca 1919 roku spacerowałem w okolicy hal w Hawrze. Zaczepiła mnie kobieta z parasolką, padało wtedy. Poszedłem do niej, ponieważ miałem wielką ochotę się kochać, jeśli można tak powiedzieć. Ona się nawet do tego nie rozebrała, co mnie mocno zmartwiło a w gruncie rzeczy byłem bardzo z tego zadowolony.

André Breton – W wieku 19 lat. Z młodą stenotypistką od Underwooda, która mieszkała w Aubervilliers (ja mieszkałem w Pantin). Kochałem się z nią w hotelu na rue de la Harpe. Przez całą noc bez przerwy zadრęczalem się myśleniem o moich możliwościach fizycznych, chociaż kochałem się

z nią cztery razy. Wrażenie było cudowne. mimo, że nazajutrz o 8 rano nagły atak wyrostka robaczkowego uczynił koniecznym przewiezienie mnie do szpitala. (?)...

Seans szósty

Jacques Prévert – Co sądzicie o kobiecie, która ma usunięte owłosienie łonowe?

André Breton – To bardzo piękne, tak jest zdecydowanie lepiej. Nigdy tego nie widziałem, ale to musi być wspaniałe. Poza wytryskiem do pochwy, w usta i w odbyt kobiety, gdzie byście chcieli mieć wytrysk, według kolejności upodobań?

Benjamin Péret – 1. Pachy. 2. Między piersi. 3. Na brzuch.

Raymond Queneau – Między piersi. Nigdzie indziej.

Pierre Unik – Między piersi.

Jacques Prévert – Na plecy, na szyję. Wszędzie indziej.

Yves Tanguy – Na brzuch. Na twarz. We włosy i na stopy.

André Breton – 1. Na oczy. We włosy.

Marcel Duhamel – 1. Na pośladki. 2. Między piersi. 3. Pachy.



JERZY STAJUDA

André Breton – Co powiedziałby Pierre Unik, gdyby został zgwałcony od tyłu przez kobietę?

Pierre Unik – Zakładam taką możliwość, że dokonałaby tego wprowadzając swoją lechtaczkę do mojej odbytnicy.

Benjamin Péret – Nie podzielam tej opinii. To mnie wcale nie interesuje.

André Breton – W jaki sposób miałaby przeprowadzić tę operację?

Benjamin Péret – Istnieją dwie możliwości. Pozwoliłoby jej na to doświadczenie albo nadmiernie rozwinięta lechtaczka, albo zrobiłaby to za pomocą sztucznego pałanta.

Yves Tanguy – To mnie interesuje.

Marcel Duhamel – To mnie bardzo interesuje.

Jacques Prévert – Ogromnie interesujące. Nigdy mi się to nie przytrafiło. Ale może mi się to przytrafi.

André Breton – Na razie wcale mnie to nie interesuje. Ale jakież to osobliwe wyobrażenie mają niektórzy z nas o rozmiarach lechtaczki nawet anormalnej wielkości i o mechanicznych możliwościach tego narządu!

Co Queneau myśli o miłości na stojąco?

Raymond Queneau – To mnie nie interesuje. To musi być męczące. (...)

Seans jedenasty

André Breton – Valentin, co myślisz o tym, żeby się wybranzlować i spuścić w ucho kobiety?

Albert Valentin – Nie ma o tym mowy.

André Breton – Mowa jednak surrealistyczna.

Paul Eluard – Już to robiłem. Dużo lepsze... Nie, nie dużo lepsze, to zależy.

Georges Sadoul – Nigdy tego nie robiłem, ale to mnie interesuje.

André Breton – To by zaspokoilo kobietę tylko z jednej strony. Świat jest tak źle urządzone.

Pierre Unik – Ucho jest stworzone dla języka, nie dla ptaszka.

André Breton – Na przykład Molier...

Georges Sadoul – A w nos?

Paul Eluard – To mi się nie podoba. Nie cierpię nosa. Mam kompleksy. Jestem przeciw.

Pierre Unik – Na przykład Courteline.

Paul Eluard – Czy Breton lubi lizać gałkę oczną kobiety?

André Breton – Bardzo chciałbym być wampirem, inkubem itp. Ale życie nigdy nie zostawia mi czasu na lizanie gałki ocznej itp.

Paul Eluard – Nie chodzi o to, czy się ma czas, ale jest to doświadczenie, które zawsze praktykowałem i które jest niezwykle przyjemne.

Georges Sadoul – To naprawdę obrzydliwe.

Paul Eluard – To cudowne. (...)

fragmenty przedrukowane za „Le Nouvel Observateur” 20–26.12.90 r.
tłumaczyła Barbara Kuchta

Donatien Alphonse François de Sade

Delcour, kat z Nantes

Rozmyślałam nad losem tych trojga, nie przypuszczając, że może chodzić o coś innego niż uwieszenie – mnie zaś pociągały egzekucje – i nie byłam uprzedzona o planach wobec nich, gdy zaanonsowano czwartą osobę. Boże! Jakże byłam zaskoczona rozpoznawszy mężczyznę, któremu Saint-Fond, gdy zjawiał się u niego po raz pierwszy, kazał, jak pamiętacie, trzykrotnie uderzyć mnie laską w ramię; osobnik ów przyniósł list, który natychmiast przeczytałam:

„Przyjmij jak najlepiej tego człowieka – pisał Saint-Fond – musisz go pamiętać, od jakiegoś czasu nosisz ślady jego rąk, to jego ręce wydały cię mým namiętnościom, gdy po raz pierwszy zabawiałem się z tobą w mým domu. Będzie on głównym aktorem krwawego przedstawienia, które ma się jutro rozegrać. Jednym słowem, to kat z Nantes, przybyły na mój rozkaz w celu wykonania egzekucji na trzech osobach, które masz teraz pod kluczem. Zobowiązany, pod groźbą utraty stanowiska, by zanieść pojutrze ich głowy królowej, sam – jak wiesz – chętnie wziąłbym na siebie wykonanie wyroku, gdyby Jej Wysokość nie okazała najgorętszego pragnienia, by dostać je z rąk kata. Dlatego właśnie nie życzo no sobie kata z Paryża. Delcour nie zna powodów, które przywiodły go do twego domu. Musisz go teraz poinstruować, ale nie pozwól mu obejrzeć ofiar: to najważniejszy warunek. Przybędę na pewno jutro rano. Więźniów, a zwłaszcza kobiety traktuj z największą surowością; niech mają tylko chleb..., wodę, i nie oglądają światła dziennego”.

– Panie – zwróciłam się do przybysza

– minister ma rację, pisząc w liście, że już się znamy... Pewnego dnia potraktowałeś mnie w sposób...

– Och! Pani, wybac, wykonywałem rozkazy...

– Nie mam ci tego za złe – przerwałam podając mu dłoń, którą gorąco ucałowałam... – Ale pora na obiad; siądźmy do stołu, porozmawiamy później.

Delcour był dwudziestoosmioletnim mężczyzną o bardzo ładnej figurze, i zarówno jego wygląd, jak i profesja szybko rozpały mi głowę. Względem, jakie mu okazałam, były dziełem mego serca; po obiedzie zaczęłam go w najrozkoszniejszy sposób uwodzić. Delcour przekonał mnie wkrótce o powodzeniu tych zabiegów. Jego obcisłe spodnie zadziwiająco się wypukliły, nie mogłam wytrzymać...

– Psiakrew! – powiedziałam – mój drogi, zobaczmy, co tam masz. Ten wspaniały penis rozpała mi głowę, twoja profesja wręcz ją rozplómiła; ogromnie pragnę, byś mnie posiadał.

Wyjęłam natychmiast ten wspaniały instrument i najpierw, jak miałam zwyczaj postępować ze wszystkimi mężczyznami, zaczęłam mu obciążać; ale ledwo mięścił mi się w ustach. Gdy tylko się w nich znalazł, Delcour zabrał się za lizanie mej szpary, i po kilku chwilach oboje wpadliśmy w uniesienie. Ten uroczy młody człowiek ujrawszy, jak pochłaniam jego spermę, rzucił się na mnie z zapalem.

– Ach, psiakrew! – wykrzyknął – zgubił mnie zbyt ni pośpiech, ale chcę naprawić błąd.

I szelma, któremu nawet nie opadł, przewrócił mnie na szeroką berżerkę,

przywarł do moich ust, jeszcze zwilżonych spermą, i włożył mi zupełnie sztywny członek, co rzadko się zdarza, gdy na czubku jest jeszcze kropla: jeszcze nikt w życiu tak wspaniale mnie nie rznął. Delcour robił to trzy kwadransy, wreszcie wycofał się przezornie, czując, że zaraz się spuści; a ja ponownie wiałam sobie w usta gęstą spermę, którą zawdzięczałam mej szparce, i połamłam drugą porcję z równą rozkoszą, jak pierwszą.

– Delcour – powiedziałam, wróciwszy trochę do siebie – muszę z tobą pomówić o mej ekstrawagancji, jesteś zapewne zaskoczony śmiałością, z jaką cię przyjął. Tak swobodne zachowanie, tak szybkie awanse mogą sprawić, że weźmiesz mnie za zwykłą dziwkę. Choć gardzę tym, co głupcy nazywają reputacją, to jednak nie chcę cię pozostawiać w nieświadomości: otóż ten szczęśliwy los zawdzięczaś nie tyle mej kokieterii, nie tyle mým zmysłom, ile memu umysłowi; na nie-szczęście to umysł bardzo osobliwy. Jesteś mordercą... katem... zresztą bardzo przystojnym, i wspaniale ci stoi... No dobrze! powiem ci to... tak, twoja profesja, właśnie ona rzuciła mnie w twe ramiona. Możesz mną gardzić, brzydzić się mną, kąpię z tego: zerżnałeś mnie, to wszystko, czego pragnęłam.

– Aniele niebiański – odparł Delcour – nie, nie gardzę tobą, ani nie czuję do ciebie niechęci, nie zasługujesz na takie uczucia. Uwielbiam cię, bo jesteś tego godna, i tylko żałuję, że uniesienie twe zawdzięczałam wyłącznie temu, co w oczach innych mnie poniża.

– Jakież to ma znaczenie – odparłam – wszystko to kwestia poglądów, a te są podzielone, skoro, jak widzisz, odpowiadasz mi właśnie dzięki temu, co oddała cię od reszty ludzi. Potraktuj to więc wyłącznie jako rzecz rozpusty: moje przywiązanie do ministra, rodzaj naszego współżycia, nie pozwalają mi na żadne intrygi, i z pewnością nigdy nie będę ich snuć. Weźmy tego wieczora i tej nocy wszystko, co możliwe, i poprzestańmy na tym.

– Ach! pani – powiedział wówczas ów młody człowiek z najwyższym szacunkiem – proszę tylko o twą protekcję i laskawość.

– Zawsze będziesz miał i jedno, i drugie, musisz jednak poddać się w pełni całemu rozprężeniu mej wyobraźni, a uprzedzam, że przy tobie, właśnie z powodu pokonania przesady, posunie się ona, być może, jeszcze dalej.

I gdy po chwili Delcour zaczął jedną ręką obmacywać me piersi, drugą zaś drażnić lechtaczkę, od czasu do czasu wbijając język w me usta, poradziłam mu, by posłusznie odpowiadał na pytania, jakie miałam mu zadać, i mówił prawdę.

– Powiedz mi najpierw, czemu wówczas, gdy widziałam cię po raz pierwszy, Saint-Fondowi przyszedł do głowy dziwny pomysł, by kazać ci uderzyć mnie w ramię.

– To rzecz libertynizmu, pani, podnieta umysłu: znasz ministra.

– Zatrudnia cię więc w swych scenach rozpusty?

– Ilekroć jestem w Paryżu.

– Posiada cię?

– Tak, pani.

– A ty jego?

– Oczywiście.

– Bieś go, chłostałeś?

– Często.

– Och, do diabła! podnieca mnie to!...

Pieś mą lechtaczkę, pieś... Czy kazał ci bić albo chłostać inne kobiety?

– Wielokrotnie.

– Czy posuwaliście się dalej?

– Pozwól, pani, że uszanuję sekrety ministra; gdy zna się go równie dobrze, jak ty, łatwo wszystko odgadnąć.

– Czy widziałeś, żeby snuł jakieś plany przeciwko mnie?

– Och! nigdy, pani! obdarza cię wyłącznie zaufaniem i czułością, zaręczam, że bardzo cię kocha.

– Odpłacam mu tym samym..., uwielbiam go i mam nadzieję, że jest o tym przekonany. Pomówmy o czymś innym, skoro chcesz, bym uszanowała wasze sekrety. Powiedz mi, proszę, jak możesz targnąć się na życie kogoś, kto nigdy ci niczego nie uczynił? Czy w głębi duszy nie masz litości dla nieszczęśnika, którego prawo każe ci zabić z zimną krwią?

– Bądź pewna, pani – odparł Delcour – że nikt z nas nie osiąga takiego stopnia świadomego okrucieństwa, nie kierując
dokończenie na s. 6

Bogdan Banasiak

Buduar i gabinet w dziele de Sade'a czyli obecność i nieobecność

Scenę, na której rozgrywa się, albo raczej – „zważywszy upodobanie Markiza do teatralnych ceremonii” – inscenizowane jest jego pisarstwo, stanowi Buduar, miejsce realizacji zarówno erotycznych praktyk, zbrodni seksualnej, jak i toczonych na ten temat dysput i wygłaszanych rozpraw; miejsce całkowitego obnażenia i totalnej ekspozycji, gdzie nie można pominąć żadnego występu ani żadnego argumentu, gdzie należy wszystko powiedzieć i wszystkiego dokonać.

„Niczego nie poznałeś, jeśli nie poznałeś wszystkiego”, mówi de Sade; „lubię wszystko, rozkoszuję się wszystkim, chcę wszystko połączyć w jedno”, dodaje gdzie indziej. Podobne deklaracje stale powracają w jego dziele, zdradzając podstawowy zamysł albo raczej obsesyjne pragnienie Markiza, które najpełniej wyrażone zostało na ostatnich stronicach *Historii Julietty*: „Jakkolwiek ludzie by się tego obawiali filozofia powinna powiedzieć wszystko”.

Encyklopedia, czyli powiedzieć wszystko. Sadycki zamysł powiedzenia wszystkiego jawi się – na poziomie najbardziej podstawowym – jako projekt o charakterze encyklopedycznym, zadanie wyczerpania „przebiegu znaczonej, kolekcji danych, zbioru argumentów” (Henaff).

Jako taki – nim Hegel encyklopedii nada zamkniętą postać systemu – nie był, rzecz jasna, niczym osobliwym w dobie Oświecenia, eksplodującego podobnymi realizacjami, zwłaszcza Wielką Encyklopedią Francuską. Jeśli jednak myśliciele osiemnastowieczni tworzyli słowniki idei, języków, cywilizacji, sztuk bądź technik, to de Sade opisał „wszystkie ludzkie możliwości, zwłaszcza uznawane za nie-normalne” (Blanchot), zgromadził „wszystko, co może być przedmiotem praktyki w dziedzinie zbrodni” (Delon), stworzył słownik perwersji, leksykon przemocy, kompendium libertynizmu, wreszcie podręcznik ateizmu – zbiór wszelkich możliwych argumentów przeciwko Bogu, religii oraz Kościołowi.

I gdy dziś, w dobie postępów nauki, rewolucji seksualnej i masowej komunikacji, nie kierujemy już pod adresem de Sade'a bezsensownych oskarżeń, ten opisowy walor jego dzieła każe widzieć w Markizie prekursora rozlicznych dziedzin wiedzy: psychopatologii seksualnej, psychoanalizy, antropologii kulturowej, krytyki religii, każe w nim widzieć kogoś, kto w genialny sposób przyczynił się do zyskiwania przez człowieka współczesnego wiedzy o sobie samym: samoświadomości. Ale walor ten nie wyczerpuje przedsięwzięcia Markiza: mówiąc wszystko, de Sade chce powiedzieć więcej, encyklopedyczny wymiar dzieła przesłania jego wymiar filozoficzny, daleko zresztą wykraczający poza oświeceniowy naturalizm, oparty na ideach materializmu, racjonalizmu i sceptycyzmu.

Filozofia, czyli powiedzieć więcej. Tylko w początkowym okresie twórczości Markiz podziela zdanie oświeceniowych materialistów, szybko jednak dostrzega własną i ateistycznego rozumu niekonsekwencję – usunięcie Boga na rzecz Natury, jawny, zdawać by się mogło, gest ateizmu jest gestem pozornym, gdyż racjonalny ateizm określa Naturę tymi samymi słowami, jakimi teologowie stawili Najwyższą Istotę, a „naturalne” prawa i zasady, mające wyznaczyć nowy ład, okazują się normami moralnymi wywodzącymi się od „zabitego” Boga. Ateizm przejmuje nienaruszone dziedzictwo monoteizmu, rozum bierze więc na siebie troskę o gatunkowe istnienie, odrzucając to, co niesprawdzałoby do jego struktury – anomalii. Okazuje się takim kształtem myślenia, który pokrywa się z kulturowymi instytucjami, moralnymi normami

i gatunkowymi prawami – wyznacza go zasada przetrwania i rozmnażania gatunku ludzkiego.

Jeśli ateizm chce – w imię suwerenności człowieka – uwolnić rozum od Boga, to de Sade przekonany jest, iż można to osiągnąć wyłącznie uwalniając myślenie od ateistycznego rozumu. Dlatego opowie się po stronie tego, co zewnętrzne wobec rozumu – po stronie anomalii, pożądania, pasji, perwersji (owej tkwiącej w człowieku mrocznej cząstki: immanentnej boskości), których powieściową postacią będzie sodomia: szczytujący z reprodukcji gest destrukcji norm. Sadycki bohater o tyle osiągnie suwerenność, o ile ateizmowi swemu nada postać integralną, czyli kierując się uwolnionymi pożądaniami, przemyśli wszystkie konsekwencje „zabicia” Boga we własnej świadomości. Toteż groźących suwerenności człowieka pretendentów do pustego po Bogu tronu de Sade podda destrukcji jako teoretycznie nieuzasadnionych (pozbawieni absolutnego poręczenia, mogą być tylko hipostazami), emocjonalnie zaś niesatysfakcjonujących (bo suwerennej pasji nie może zaspokoić żaden realny przedmiot). Zakwestionuje Naturę, moralne prawa bliźniego (innego), by stanąć wreszcie twarzą w twarz z własnym „ja”.

Skoro zgodnie z kulturowym przekonaniem chłodna myśl i szal namiętności wykluczają się, a ich konfrontacja prowadzić musi do zamroczenia myśli lub zniknięcia ekstazy, to de Sade uznając, że „kiedy brak nam namiętności, popadamy w oglupienie”, chce pasję przeniknąć refleksją. Dlatego jego bohaterowie przepalają orgie dysputami, dlatego jego czło-
dokończenie na s. 7

Donatien Alphonse François de Sade

Delcour, kat z Nantes

dokończenie ze s. 5

się zasadami, które innym ludziom są, być może, nieznanne.

- Zasady? to właśnie chcę wiedzieć: jakież to zasady?

- Mają one źródło w całkowitym zaprzeczeniu człowieczeństwa. Od dzieciństwa uczy się nas mieć ludzkie życie za nic, prawo zaś za wyrocznię; w wyniku tego zabijamy bliźnich z taką samą łatwością, z jaką rzeźnik zabija wołu, nie zastanawiając się nad tym zbytnio.

- Ale na to, na co pozwalacie sobie egzekwując prawo, pozwolilibyście sobie również dla zaspokojenia własnych skłonności?

- Oczywiście, pani, gdy tylko znika przesąd, nie uważamy już morderstwa za jakiegokolwiek zła.

- Jakże można nie widzieć zła w niszczeniu bliźnich?

- Zapytam cię ze swej strony, pani, jakże można je w tym dostrzec? Gdyby jednym z pierwszych praw natury nie było niszczenie wszelkich istot, mógłbym zapewne sądzić, że niszcząc obraża się tę niezrozumiałą naturę, ale gdy nie istnieje ani jeden proces natury, który by nie dowodził, że niszczenie jest w naturze konieczne, i że może ona tworzyć wyłącznie mocą niszczenia, to z pewnością każda istota, która odda się niszczeniu, będzie tylko naśladować naturę. Powiem więcej: ten, kto by się od tego uchylał, ciężko by ją obraził; a jeśli, o czym nie można wątpić, właśnie niszczenie dostarcza jej środków dla tworzenia, to z pewnością im więcej niszczy, tym lepiej służy jej zamysłom. Jeśli mord jest podstawą właściwych naturze praw odradzania się, to z całą pewnością człowiekiem, który najlepiej służy naturze, będzie morderca, a im więcej dokona mordów, tym lepiej wypełni prawa natury, której jedynymi potrzebami są morderstwa.

- To bardzo niebezpieczne poglądy.

- Ale prawdziwe, pani... Jeśli ktoś kiedyś rozwinie je bardziej niż ja, zobaczysz, że zawsze wyjdzie od tych samych podstaw.

- Mój drogi - rzekłam do Delcoura - powiedziałaś dość, by skłonić mnie do zastanowienia. Jedna myśl podsunięta umysłowi takiemu, jak mój to niczym iskra rzucona na beczkę prochu, mam wyraźne skłonności, by myśleć tak jak ty. Znajdują się tutaj trzy ofiary, a ty jesteś w zamku po to, by je zgładzić: zapewniam cię, że będę miała ogromną przyjemność widząc, jak się do nich zabierasz. Ale proszę cię, mój drogi, wyjaśnij mi to wszystko na tyle, na ile tylko zdołasz. Czyż nie jest prawdą, że właśnie z pomocą libertynizmu udało ci się pokonać naturę, a raczej przesąd? Dowiodłeś mi bowiem jasno, że morderstwo raczej służy naturze niż ją obraża.

- Co chcesz przez to powiedzieć, pani?

- Pytam cię, czy nie jest rzeczą zupełnie pewną, jak zrozumiałam, że oddając się libertynizmowi doszedłeś do tego, że odurzasz się morderstwami, które popełniać każe ci twoja profesja: jednym słowem, czy nie jest prawdą, że ich dokonanie zawsze cię podnieca?

- Oczywiście, pani, libertynizm prowadzi do zbrodni. To pewne, że człowiek osłabiony może odzyskać siły popełniając właśnie to, co głupcy nazywają zbrodnią; a ponieważ zwiększa ona ilość wytwarzanych w każdym człowieku podrażnień nerwów tego samego zmysłu, który najsilniej nas pobudza, to nieuchronnie od-

zyskać musimy siły utracone wskutek występku. Morderstwo jest więc rzeczywiście jednym z najrozkoszniejszych podłoży libertynizmu, nie jest jednak prawdą, że aby je popełnić, zawsze trzeba mieć głowę nabitą libertynizmem. Dowodzi tego zimna krew, z jaką zabijają wszyscy nasi pobratymcy... kierując się namiętnością całkiem innego rodzaju niż namiętność libertynizmu, pobudzającą tych, którzy oddają się tym samym czynom z powodu ambicji, zemsty bądź chciwości, a nawet tych, dla których powodem jest zwykłe okrucieństwo, choć nie skłania ich do tego żadna inna namiętność. Jak widzisz, pozwala to wskazać kilka kategorii morderstw, spośród których libertynizm posiada osobną, co jednak nie przeszkadza nam wnosić, że żadne z tych morderstw, bez względu na jego rodzaj, nie obraża natury, raczej odzyskuje prawa niż je gwałci.

- Wszystko, co mówisz, jest słuszne, Delcour, twierdzę jednak, że ze względu na korzyść płynącą z tych morderstw byłoby pożądane, by ten, kto je popełnia, rozpałał swój szal wyłącznie od płomienia rozwiązłości, gdyż namiętność ta nigdy nie przynosi wyrzutów sumienia, wspomnienia o niej są przyjemnością. W przypadku innych, gdy wyczerpie się ich energia, często gryzą nas wyrzuty sumienia, zwłaszcza wówczas, gdy nie są ustalone zasady. I rzeczywiście łatwo byłoby nigdy nie skłaniać się ku takim czynom, gdy nie popycha nas ku nim libertynizm. Wydaje mi się, że można by zabić

z dowolnego powodu, zawsze jednak ulegając przy tym podnieceniu, co tym bardziej wzmacnia nasz czyn i zapobiega dręczącym wyrzutom sumienia, które nigdy nie dosięgają libertynizmu..., i nigdy nie stanowią dlań pomsty.

- Sądzisz w takim razie - powiedział Delcour - że rozwiązłość może wzmacniać czy podsycać namiętność?

- Jest ona dla namiętności tym, czym nerwowy fluid dla życia: wszystkie je pobudza, wszystkim użycza sił, dowodzi tego fakt, że męczącyzna pozbawiony jaj nie wie, co to namiętność.

- Uważasz zatem, że można być ambitnym, okrutnym, chciwym, mściwym z tych samych powodów, co w przypadku rozwiązłości.

- Tak, jestem przekonana, że wszystkie te namiętności budzą podniecenie, i każda z nich może rozpałać żywy i dobrze ułożony umysł tak, jak to czyni rozwiązłość. Nie mówię tutaj o niczym, czego bym nie doświadczyła: onanizowałam się aż do całkowitego wyczerpania powodowana ambicją, okrucieństwem, chciwością i zemstą. Nie ma takiego zamysłu zbrodni, bez względu na popychającą do niej namiętność, który by nie sprawiał, że w mych żyłach zaczyna krążyć subtelny ogień lubieżności: takie skutki powodowało kłamstwo, bezbożność, oszczerstwo, oszustwo, nieczułość duszy, a nawet obżarstwo. Jednym słowem, nie

istnieje taki rodzaj występku, który by nie rozbudzał we mnie lubieżności; albo też, jeśli wolisz, jej pochodnia, roznieciwszy we mnie pożar wszystkich występku, w nich wszystkich rozpałała sobie tylko właściwy boski ogień i wszystkim występkom przekazała to rozkoszne odczucie, którego ludzie o złej konstytucji oczekują, jak się wydaje, wyłącznie z jej rąk. To, oczywiście, moje przekonanie.

- A także moje, pani - odparł Delcour - nie mógłbym dłużej tego ukrywać.

- Jestem ci wdzięczna za twą szczerość. Mój drogi, sądzę, że znam cię teraz dostatecznie, by mieć pewność, że gdy zgodnie z nakazem dokonujesz morderstw, musisz oddawać się libertynizmowi, co pozwala ci czerpać z nich znacznie większą rozkosz niż twoi pobratymcy, którzy zabijają wyłącznie odruchowo.

- No dobrze pani, przejrzałaś mnie.

- Zbrodniarzu - powiedziałam uśmiechając się i ponownie biorąc penisa tego młodego człowieka, którego brandzlowałam, ażeby dodać mu nieco energii...

- O wspaniały libertynie! Oznacza to, że dziś znajdujesz podniecie w rozkoszowaniu się mym istnieniem, a jutro spuściłbyś się pozbawiając mnie życia...

A widząc zakłopotanie Delcoura dodałam:

- Mój drogi, w pełni akceptując twe

Krew trysnęła... Och, moi drodzy! w jakież wpadłam uniesienie? Żadne słowa nie wyrażają oszołomienia, w jakie wprawiły mnie te poczynania: trzeba mego umysłu, by je odczuć, waszych, by je pojąć. Trudno sobie wyobrazić, jak wiele soków straciłam w ustach liżąc mnie dziewczyny. W głowie miałam zamęt..., ogarnęło mnie wzburzenie..., podniecenie, nigdy w życiu nie byłam w takim stanie...

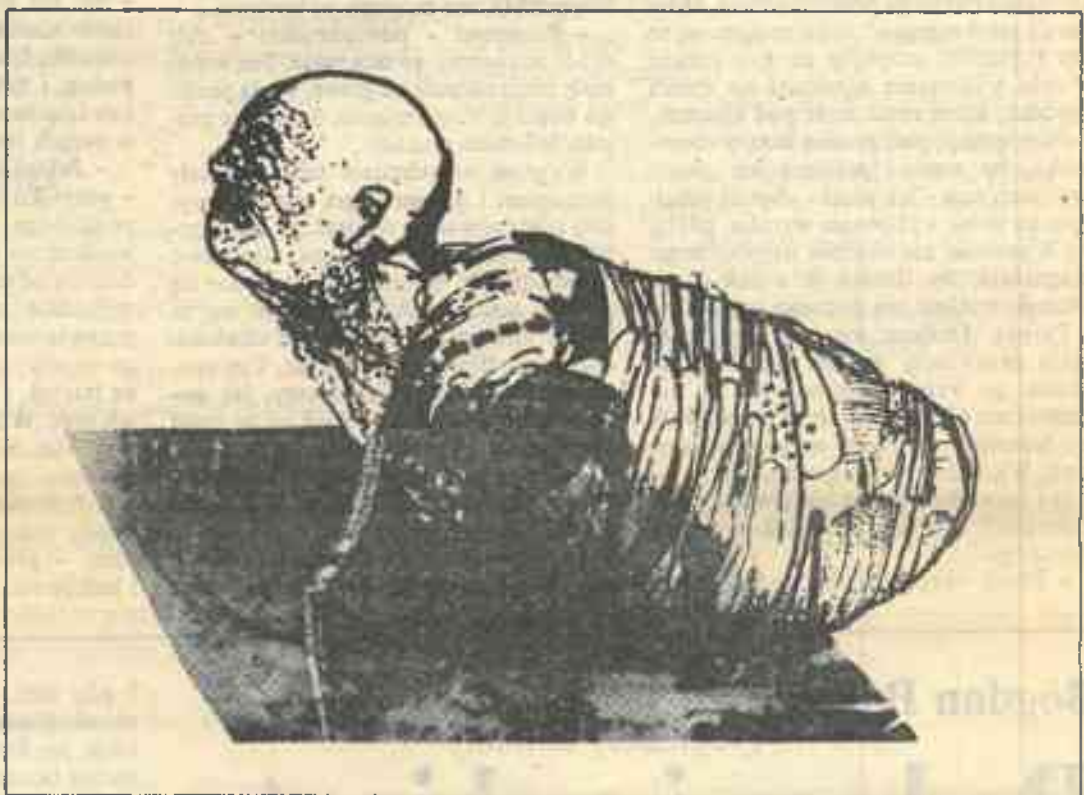
- Och! Delcour - ciągnęłam - pozostaje ci oddać mi ostatni hołd, zbierz siły, by się do tego zabrać. Ta dupcia, którą pokaleczyłeś, przywołuje cię, prosi, byś ją ukoił. Wenus, jak wiesz, ma na Cyterze niejedną świątynię: otwórz więc świątynię sekretną, weź mnie od tyłu, Delcour, chodź... niech nie będzie ni jednej rozkoszy, której byśmy nie zakosztowali, ni jednej okropności, której byśmy nie popełnili.

- Ach! psia krew - wykrzyknął Delcour w uniesieniu - nie śmiałem ci tego, pani, zaproponować, ale spojrz, jak udziela mi się twe podniecenie.

I rzeczywiście, mój amant pokazał mi najbardziej jędrnego i najdłuższego penisa, jakiego kiedykolwiek widziałam...

- Najdroższy libertynie - powiedziałam - a więc lubisz tyłek?

- Ach! pani, czy istnieje w świecie rozkoszniejsza przyjemność?



MACIEJ KONOPKA

zasady, muszę ci wybaczyć to wszystko, co z nich wynika: cieszymy się więc konsekwencjami i nie rozmawiamy już o nich.

Głowę miałam nieprawdopodobnie rozpaloną.

- Śmiało - ciągnęłam - musisz zrobić ze mną rzeczy zupełnie niezwykle.

- Cóż zatem?

- Musisz mnie bić, musisz mnie znieważać, musisz mnie chłostać: czyż nie czyniłeś tego zawsze z innymi dziewczętami? czy to nie te właśnie rozkosze, którymi splamiliście się z nimi, tak cię elektryzują, że zdolny jesteś dokonać więcej?

- Często.

- Jutro będziesz miał poważne zadanie, przygotuj się więc do niego dzisiaj: oto moje ciało, oddaję ci je.

I Delcour, posłuszny mym rozkazom, zaaplikowawszy mi na wstępie tuzin policzków i tyleż kopniaków, chwycił rękę jeść bata i kwadrans zdierał mi nim skórę z pośladków, podczas gdy jedna z kobiet mnie lizała.

- Delcour - powiedziałam - o boski niszczycielu rodzaju ludzkiego! Ty, którego wielbię i którym chcę się rozkoszować, bij mocniej swą ladacznicę, odcisnij na niej ślady swej ręki, widzisz, że płonie pragnieniem ich noszenia. Robi mi się mokro na samą myśl, że twe palce spłyną moją krwią, nie oszczędzaj mnie, mój kochany!...

- Dobrze wiem, mój drogi - odparłam - że gdy przyzwyczajamy się lekceważyć jedno z praw natury, prawdziwą rozkosz dać nam może tylko przekraczanie ich wszystkich po kolei...

Delcour, zauroczony ołtarzem, który całkowicie mu powierzyłam, obsypał go, choć całe pośladki broczyły krwią, najrozkoszniejszymi pieszczotami. Gwałtowne ruchy jego języka w dziurce rozpałały mnie. Łajdaczka, której się oddałam, robiła to samo z mą łechtaczką. Nie wytrzymałam już, byłam wyczerpana, ale nie znalazłam ukojenia i przestałam się troszczyć o Delcoura: tak bardzo go pragnęłam, jak wielkie budził we mnie przerażenie. Oto efekt nienormalnych pragnień: im bardziej rozpałają nam głowę, tym większą pozostawiają w niej pustkę. Głupcy widzą w tym dowody istnienia Boga, ja znajduję tylko najpewniejsze dowody materializmu: im bardziej poniżacie nasze istnienie, tym mniej uważam je za dzieło Boga.

Delcour wrócił do swego apartamentu, a ja zatrzymałam mą lesbijkę na noc.

Przełożył Bogdan Banasiak

Fragment ten pochodzi z dzieła *Histoire de Juliette, ou les prosperités du vice*, t. I. Przekład wg wydania UGE., Paris 1976, ss. 379-390. Tytuł pochodzi od tłumacza [przyp. tłum.].

Bogdan Banasiak

Buduar i gabinet w dziele de Sade'a

czyli obecność i nieobecność

dokończenia ze s. 5

wiek suwerenny, kwestionując rządzącą nim dotąd rozkosz i namiętność, osiąga stan apatii – ateizm integralny, będący dezintegracją człowieka (wolnego teraz od stadnych popędów i stadnych wartości, wyznaczających ludzką racjonalność) będący powołaniem potwora: stan najwyższej jasności myśli.

Integralny ateizm de Sade'a – zapowiedź „śmierci Boga” – antycypuje Nietzscheński projekt „obalenia platonizmu” i przywołania dionizyjskości, i jawi się jako prekursorski wobec destrukcyjnych i dekonstrukcyjnych tendencji współczesnej filozofii, która głosząc „śmierć człowieka”, zakwestionowanie źródłowego początku (tożsamości) i przywracając zapomnianą różnicę, podaje w wątpliwość kształt myślenia w kulturze Zachodu. De Sade czyni to samo *avant la lettre*.

Ateologia, czyli powiedzenie niewyraźne. O ile sceną, na której rozgrywa się filozofia de Sade'a – filozofia jako dyskurs pretendujący do ogólności, jako demystyfikacja – jest Buduar, o tyle to, co stanowi o swoistości przypadku Markiza – jego doświadczenie wewnętrzne – rozgrywać się będzie za kulisami tej sceny, w Sekretnym Gabinetecie, dokąd libertyn, znudzony swymi „wyczynami” w Buduarze, które nie mogą zaspokoić jego uwolnionego pożądania, udaje się wyłącznie w towarzystwie ofiary; gdzie zatem nie może go osiągnąć wzrok publiczności, gdzie nie ma świadków, mogących zdać sprawę z jego postępów, świadków mogących mówić. Jeśli zatem to wszystko, co możliwe, daje się pomyśleć i wypowiedzieć, uobecnić, i tym samym określa, z jednej strony, sferę buduarowych ekscesów, encyklopedyczny wymiar powieściowego wszystkiego, z drugiej z kolei, w sensie, w jakim seksualna zbrodnia poddana zostaje przemyśleniom i splecioną z refleksyjnym słowem – a de Sade, starając się wyrazić zwłaszcza to, co dyskurs skutecznie tłumil: niemą przemoc i ślepa namiętność – niejako wyczerpuje możliwości logocentrycznego języka (który sferę tego, co możliwe identyfikuje z obecnością: jest tylko to, co inteligibilne i dyskursywne) – przestraszeń filozofii w Buduarze, krytyczny wymiar powieści więcej, a nawet zbyt wiele (ujaw-

niając immanentną człowiekowi boskość, de Sade wstrząsa bowiem podstawami zachodniej kultury), to sekretny gabinet ukryty przed czymkolwiek wzrokiem, pozostający zatem poza obszarem słowa, gabinet, skąd dochodzi jedynie krzyk, przedjęzykowy, czysto ekspresyjny sposób użycia głosu – znamionuje sferę tego, co niemożliwe, co niewyraźne: sferę nieobecności.

Wbrew ustaleniom nauki, próbującej „oswoić” de Sade'a, jego „myśl rozbieżna jest z myślą istoty rozumnej” (Bataille). De Sade bowiem jest przypadkiem anomalii, człowiekiem perwersyjnym, w którym górę wzięły popędy destrukcyjne, wrocie egzystencji, nie zaś popędy sprzyjające przetrwaniu indywidualu i przedłużaniu gatunku (co stanowi o ludzkiej racjonalności i „normalności”). Nie tyle więc konsekwencje integralnego ateizmu poprowadzą Markiza ku potworności myśli, ku autodestrukcji, ile jego perwersyjna konstytucja pozabawi racjonalności ateizm (oferując kolejne wcielenie Obecności: Człowieka, Historię, Bycie...) i wyda destrukcji Boga, innego, a jego własne „ja” otworzy na otchłań szaleństwa i śmierci (bo świadomość pozabawiona rękami Najwyższej Tożsamości musi ulec dezintegracji). Sadyczna perwersja – nienasycone pożądanie – ujawnia, iż rozum jest tylko kruchym przebraniem sfery afektów, mrocznych sił, które – uwolnione grozą „ja” wybuchem mroku. Pragnąc powiedzieć wszystko, także to, co niewyraźne – co w człowieku jednostkowe i pierwotne – de Sade pozwala, by przemówiła w nim sama. Jego pisarstwo to zatem zyskiwanie samoświadomości poprzez powieściową inscenizację jego własnego przypadku, poprzez próbę opisu własnego doświadczenia wewnętrznego – w nadziei zawiązania nici wspólnoty z innym człowiekiem suwerennym. Tak zaś pojęte pisarstwo stanowi dla Markiza sferę pozorów (mystyfikowania), językowego ekwiwalentu niewyraźnych wizji i obsesyjnych obrazów, fantazmatów, jakie jego wyobraźni, uwolnionej od ciasnych ram racjonalności, od Boga, dyktują mroczne siły. „Bóg sytuuje się po stronie rozumu, człowiek pozabawiony Boga po stronie mrocznych sił” (Klossowski). Kiedy „umiera” Bóg, budzą się



ARTAND POLAKOWSKI

dokończenie ze s. 1

– Czy potrzebna była instytucjonalizacja działań, skoro de Sade'em zajmujesz się od dość dawna?

– Mielśmy wątpliwości, były nawet głosy zdecydowanie temu przeciwnie. Przeważały jednak względy czysto pragmatyczne. Nie sposób prowadzić jakiegokolwiek działalności bez funduszy. Stowarzyszenie, mając osobowość prawną, mogło pewne środki wypracować. Liczyliśmy też na ewentualnych sponsorów, na kontakty z podobnymi instytucjami. Poczyniliśmy pewne plany i przygotowania: z okazji 250. rocznicy urodzin Markiza, która minęła w ubiegłym roku, chcieliśmy zorganizować trzydniową sesję naukową, połączoną z imprezami artystycznymi; były też pewne projekty edytorskie. Znaleźliśmy chętnych do udzielenia Towarzystwu stałej gościny, zarysowała się też szansa sfinansowania wspomnianej imprezy. Ażeby dopełnić formalności – sądziliśmy zresztą, że będzie to właśnie zwykła formalność – złożyliśmy w sądzie wszystkie wymagane dokumenty wraz ze statutem. Sąd jednak, ku naszemu zaskoczeniu, odmówił zarejestrowania Towarzystwa.

– Jakże były powody odmowy?

– Żałuję, że na tak precyzyjnie sformułowane pytanie nie mogę dać równie precyzyjnej odpowiedzi. W dość obszernym uzasadnieniu odmowy nie znalazł się ani jeden formalny czy merytoryczny argument, ani jeden konkretny i uzasadniony zarzut. Wyłącznie krytyczna ekwilibrystyka, powódź

Erotyzm i poszukiwanie absolutu

słów mających zastąpić rzeczową argumentację i przesłonić merytoryczną niekompetencję. Z uzasadnienia dowiedzieliśmy się na przykład, że działania Towarzystwa „naruszają zasady współżycia społecznego, a tym samym panującą w Polsce moralność publiczną”, oraz że „zarejestrowanie Towarzystwa nie zyskałoby akceptacji znacznej części społeczeństwa polskiego”. Z pierwszego stwierdzenia wynika, że najpoważniejsze zagrożenie dla zasad społecznego współżycia stanowi... nauka i sztuka, bo ten zakres obejmowała sprecyzowana statutowo działalność Towarzystwa. To, rzecz jasna, pogląd niezwykle budujący i godny upowszechnienia. W odniesieniu do drugiego argumentu można tylko stwierdzić, że zadekretowaną jednomyślnie mamy, szczęśliwie, za sobą – nie podejrzewałem sądu o tak głęboką nostalgię. Były jednak rzeczy jeszcze zabawniejsze. Podczas rozprawy w grudniu '89 sędzia powołał się na „lud pracujący miast i wsi” – warto przypomnieć, że sformułowanie to już wcześniej usunięto z Konstytucji – a także udzielił pisemnej zgody na zajmowanie się de Sade'em „w zakresie indywidualnym”. To wszystko nawet bardziej nas ubawiło niż zaskoczyło. Krótko mówiąc, sąd uznał, że Towarzystwo nie spełnia warunków określonych w ustawie „Prawo o stowarzyszeniach”, co rozumia się z prawdą – nie nawoływaliśmy do zmiany ustroju siłą, a wspomniana ustawa przewiduje tylko tego typu ograniczenia. Za powód odmowy rejestracji można więc z całym spokojem uznać to, co w naszym kraju typowe – urzędniczą niekompetencję, obawę przed podjęciem decyzji w warunkach cokolwiek niecodziennych, nie mówiąc już o przesądach oraz o czymś, co nazwałbym czysto bezinteresowną ludzką złośliwością: jeśli tylko można komuś w czymkolwiek przeszkodzić bądź cokolwiek utrudnić, należy to uczynić ot, taki przejaw władztwa.

– Nie skorzystaliście jednak z prawa odwołania do Sądu Najwyższego?

– Otrzymałoby się przecież pozwolenie na zajmowanie się de Sade'em... Ale poważnie: zdania były podzielone. Część kolegów gotowa była zareagować na tę skandaliczną decyzję, mniej zresztą kierując się zamiaram doprowadzenia do rejestracji, bardziej natomiast chęcią publicznego ujawnienia praktyk, jakie mają miejsce w – podobno – praworządnym kraju. Ponieważ jednak rejestracja nie była dla nas celem, lecz tylko środkiem, a ponowne odwiedzanie sal sądowych specjalnie nas nie pociągało, pozostaliśmy przy prywatnym i nieoficjalnym charakterze Towarzystwa. Podkreślam, traktowaliśmy rejestrację jako rzecz czysto formalną, która ułatwi nam działalność. Ale toczyć boje z sądami? Na to szkoda mi czasu. Choć odmowa sądu znacznie ograni-

cza zakres możliwych działań, to ma jednak pewien aspekt pozytywny: dowodzi, że de Sade jest wciąż żywy, skoro bulwersuje i budzi sprzeciw. Zatem warto o nim mówić.

– Bardzo ogólnie wspominałeś o zakresie działalności Towarzystwa. Czy mógłbyś nieco bliżej określić jego cele?

– Najogólniej można by powiedzieć – i tak to precyzował statut – że celem jest popularyzacja twórczości de Sade'a oraz pokrewnej czy też inspirowanej de Sade'em myśli, którą z racji usytuowania na obrzeżach nurtów kulturowo dominujących można by określić jako myśl nieoficjalną, jako kulturowy przeciwprąd. Realizację tych celów widzieliśmy głównie w działalności krytyczno-naukowej; w prowadzeniu prac badawczych, organizowaniu spotkań i seminariów – oraz w inicjowaniu i upowszechnianiu działalności translatorskiej, edytorskiej i artystycznej mieszczącej się we wspomnianym nurcie. Taki charakter Towarzystwa wyznaczony został składem osobowym – wśród członków założycieli dominowali filozofowie i poloniści, byli także ludzie teatru i wydawcy, ale także osoby nie związane zawodowo z nauką i sztuką.

– Nawiązanie do formuły myśli, którą określiłeś jako nieoficjalną, sugeruje, że nie tylko de Sade jest przedmiotem waszego zainteresowania.

– Nie było naszą intencją zajmowanie się wyłącznie Markizem, chodziło raczej – jak określili to jeden z przyjaciół – o Towarzystwo „fermentu myśli”. Wybór de Sade'a na

patrona – skoro już samo jego imię kojarzy się ze skandalem – był pewną rozmyślną próbą skandalizowania, swego rodzaju intelektualną „prowokacją”. To po pierwsze. Po drugie zaś Markiz należy do tych filozofów, którzy na drodze konsekwencji myśli posunęli się najdalej. Toteż właśnie on nadawał się najlepiej na patrona Towarzystwa.

– Czy mógłbyś pokrótce scharakteryzować ową formację „myśli nieoficjalnej”?

– Trudno byłoby określić ją w jednoznaczny sposób, nie jest to bowiem jednolita formacja, raczej pewien przeciwprąd, który towarzyszy dominującej postaci kultury i stale ją nawiedza. Zaliczyłbym do niego tych twórców, których doświadczenie bądź spychane było na margines, bądź pozostało nie zrozumiane. Ich samych zaś często określano mianem szaleńców – wymienimy van Gogha, Hölderlina, Nervalia. Przede wszystkim będą to jednak ci myśliciele, którzy, jak Pascal, Kierkegaard, de Sade, Nietzsche, Artaud, Bataille, Klossowski, doświadczyli – choć w różnym natężeniu, różną mając w tym względzie samoświadomość i różnie to doświadczenie ujmując – tego, co począwszy od Nietzschego nosi miano „śmierci Boga”, a co dziś przynosi „śmierć człowieka”. Można by tutaj mówić o apatii bądź integralnym ateizmie de Sade'a, wiecznym powrocie Nietzschego, heterologii bądź ateologii Bataille'a i Klossowskiego. Należy też wspomnieć o tych, którzy wbrew tradycji zachodniego myślenia w kategoriach tożsamości i negatywności, czyli obecności, próbowali przemyśleć zagubioną od czasów Platona różnicę i wielość, a więc Heideggera, a zwłaszcza Foucaulta, Deleuze'a, Derridę. Stawką, o którą w tej formacji chodzi, jest namysł nad tym, co rozum wzdraga się przemyśleć: nad nieobecnością, nad owym pustym miejscem, jakie pozostaje po rozpadnięciu się zasady poręczenia świata i tożsamości „ja”. To, rzecz jasna, bardzo obszerny kompleks zagadnień, ale można w nim wskazać kilka punktów szczególnie istotnych: błędnie interpretowani bądź niedostatecznie znani de Sade, Nietzsche, Bataille, Klossowski...

– Niedwuznacznie sugerujesz, że problematyka ta ma szczególne znaczenie kulturowe.

– Powiedziałbym wręcz, iż najistotniejszym problemem dla współczesnej filozofii czy też humanistyki w ogóle jest dające się wyartykułować w tym obszarze myśli pytanie: jak żyć i myśleć w świecie bez Boga, bez Obecności. To kwestia poszukiwania Absolutu ze świadomością jego nieobecności.

– De Sade jednak – sam o tym wspominałeś – kojarzy się bardziej z pornografią niż z filozofią.

– U progu naszego stulecia Apollinaire powiedział, że de Sade „zapanuje nad wie-

dokończenie na s. 14

Georges Bataille

Słoneczny odbyt

Świat jest, oczywiście, czysto parodystyczny, czyli każda rzecz, jaką widzimy, parodiuje inną, albo też jest tą samą rzeczą w ludzko podobnej formie.

Odkąd zdania krążą po mózgach zajętych rozważaniami, doszło do całkowitego utożsamienia, skoro dzięki łącznikowi każde zdanie łączy jedną rzecz z inną; i wszystko by było w widoczny sposób powiązane, gdybyśmy jednym spojrzeniem dostrzegli w całości ślad pozostawiony przez nie Ariadny, prowadzącą myśl jej własnym labiryntem.

Ale łącznik słów jest równie podniecający, jak łącznik ciał. I kiedy krzyczę: JESTEM SŁONCEM, wynika z tego integralna erekcja, albowiem słowo „być” jest nośnikiem miłosego oszołomienia.

Wszyscy mają świadomość, że życie jest parodystyczne i że brak mu interpretacji.

Toteż olów parodiuje złoto.
Powietrze parodiuje wodę.
Mózg parodiuje równik.
Kopulacja parodiuje zbrodnię.

Złoto, wodę, równik czy zbrodnię jednakowo można uznać za zasady rzeczy.

A jeśli źródło nie jest podobne do uchodzącej za podstawę gleby planety, lecz do cyrkularnego ruchu, jaki planeta wykresła wokół ruchomego centrum, to jako zasadę stwórczą można przyjąć również samochód, zegarek albo maszynę do szycia.

Dwie zasadnicze postacie ruchu to ruch wirowy i ruch seksualny, których kombinacja znajduje wyraz w lokomotywie złożonej z kół zębatach i łożek.

Oba te ruchy wzajemnie w siebie przechodzą.

Tak oto dostrzec można, że ziemia obracając się powoduje kopulację zwierząt i ludzi oraz (jako że to, co wynika, jest równie dobrze przyczyną, jak to, co stanowi powód) że zwierzęta i ludzie wprawiają ziemię w obrót kopulując.

Georges Bataille

Orestia

(urywki)

Noc jest moją nagością
gwiazdy to moje zęby
do zmarłych się tułę
ubrany w biel słoneczną

Teatr w sobie otwieram
gdzie gra mój sen zmyślony
zwodniczy epizod
ze wstydu błędną

bez szansy

śmierć

zdmuchnięta świeca

(Urywki wierszy z *La Haine de la Poesie*,
Paris 1947)
przełożył Krzysztof Matuszewski

Tej właśnie kombinacji czy też mechanicznej transformacji owych ruchów poszukiwali alchemicy jako kamienia filozoficznego.

Obecną sytuację człowieka pośród żywiołów określa właśnie stosowanie tej kombinacji o wartości magicznej.

Wyrzucony but, zepsuty ząb, zbyt krótki nos, kucharz pluący do jedzenia swych państwa, są dla miłości tym, czym flaga dla narodu.

Parasol, sześćdziesięciolatek, seminarzysta, zapach zgnitych jaj, wytupiane oczy sędziów, są korzeniami, dzięki którym karmi się miłość.

Pies pożerający żołądek gęsi, pijana kobieta, która wymiotuje, księgowy, który szlocha, musztardniczka, stanowią pomieszczenie, które służy w miłości za nośnik.

Człowieka postawionego pośród innych podnieca to, że wie, dlaczego nie jest jednym z nich.

Leżąc w łóżku obok ukochanej dziewczyny zapomina, że wie, dlaczego jest sobą zamiast być ciałem, którego dotyka.

Nic o tym nie wiedząc, cierpi w mroku inteligencji – to ona nie pozwala mu krzyżeć, że sam jest dziewczyną, która, podniecona w jego ramionach, zapomina o swej obecności.

Miłość albo dziecięcy gniew, albo nędza wdowy z prowincji na dożywotniej rencie, albo klerikalna prostytutka, albo diament śpiewaczki, zwodzą osoby zapomniane w pokrytych kurzem apartamentach.

Próżno będą spragnione szukać siebie: znajdą tylko parodystyczne obrazy i zasną puste jak lustra.

Nieobecna i bezwładna dziewczyna, która o niczym nie marząc zawisła na mych rękach, nie jest mi bardziej obca niż drzwi czy okno, którymi mogę wyrzeć albo przejść.

Natrafiam na obojętność (która pozwala jej mnie opuścić), gdy zasypiam niezdolny kochać to, co nadchodzi.

Ona nie może wiedzieć, kto na nią natrafia, gdy ją obejmuję, ponieważ uparcie pograża się w całkowitym zapomnieniu.

Systemy planetarne, które obracają się w przestrzeni jak szybko tnące tarcze, a których centrum również się przemiesza, opisując krąg nieskończenie większy, stale opuszczają własne miejsce, by powrócić do niego, gdy zakończą obrót.

Ruch jest postacią miłości która niezdolna zatrzymać się na jednej istocie, przechodzi szybko do innej.

Ale zapomnienie, które ją w ten sposób warunkuje, jest tylko wybiegiem pamięci.

Człowiek wznosi się niespodziewanie jak widmo znad grobu, i tak samo osuwa.

Podnosi się kilka godzin później, potem osuwa się ponownie, i tak co dzień: tę wielką kopulację z niebiańską atmosferą wyznacza obrót ziemi zwróconej ku słońcu.

Choć ruch ziemskiego życia podlega rytmowi tego obrotu, to obrazem tego ruchu nie jest obracająca się ziemia, lecz kutas, który wnika w kobietę i niemal całkowicie z niej wychodzi, by znów wejść.

Miłość i życie jawią się jako odrębne tylko dlatego, że wszystko na ziemi rozrywa drgania o różnej amplitudzie i czasie trwania.

Nie ma jednak drgań, które by się nie łączyły z ciągłym ruchem okrężnym, tak samo jak w lokomotywie, która toczy się po powierzchni ziemi, będąc obrazem ciągłej przemiany.

Istoty umierają, by się rodzić – na sposób fallusów, które wychodzą z ciała, żeby w nie wnikać.

Rośliny wznoszą się ku niebu, a potem opadają na ziemię.

Drzewa sterczą z ziemskiej gleby jak mnóstwo kwitnących kutasów wzniesionych ku słońcu.

Drzewa zbyt wybujałe kończą spalone od pioruna, zwalone albo wyrwane z korzeniami. Po powrocie do gleby wznoszą się tak samo w innej postaci.

Ale ich wielokształtna kopulacja zależy od jednostajnego obrotu ziemi.

Najprostszym obrazem życia organicznego złączonego z krążeniem jest pływ morza.

Z ruchu morza, jednostajnej kopulacji ziemi z księżycem, wywodzi się wielokształtna i organiczna kopulacja ziemi i słońca.

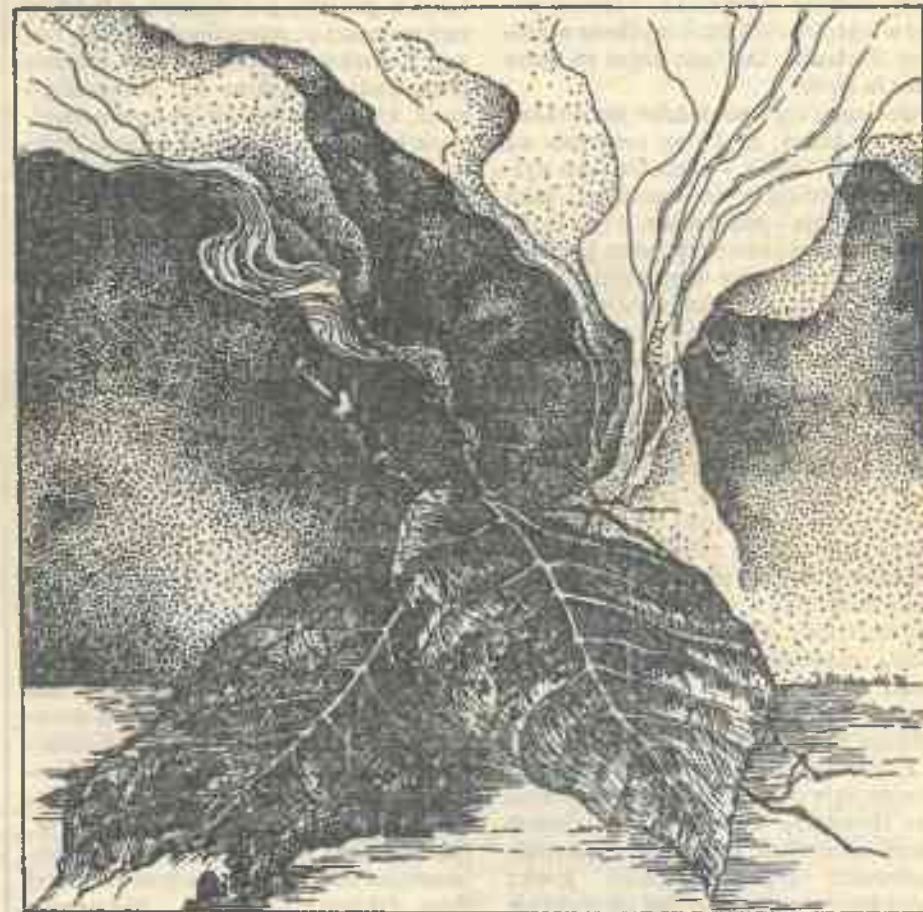
Ale pierwotną formą słonecznej miłości jest chmura, która unosi się nad płynnym żywiołem.

Chmura przesycona erotyzmem staje się niekiedy burzą i spada na ziemię w postaci deszczu, piorun zaś dziurawi warstwy atmosfery.

Deszcz wznosi się wkrótce w postaci nieruchomej rośliny.

Życie zwierzęce wywodzi się całe z ruchu mózgu, a wewnątrz ciała życie stale wychodzi ze słonej wody.

Morze odegrało w ten sposób rolę żeńskich narządów, które podniecone przez kutasa wilgotniają.



Morze stale się brandzluje.

Żywioły stale, scalone i zespolone przez wodę ożywioną ruchem erotycznym, wytryskują z niej w postaci latających ryb.

Erekcja i słońce gorszą tak samo, jak trup i mrok piwnic.

Rośliny kierują się jednakowo ku słońcu, a istoty ludzkie, przeciwnie: choć w odróżnieniu od innych zwierząt są falloidami jak drzewa, to nieuchronnie odwracają od niego oczy.

Ludzkie oczy nie znoszą ani słońca, ani kopulacji, ani trupa, ani mroku, różnie jednak na ich widok reagują.

Gdy moja twarz nabiegnie krwią, staje się czerwona i sprośna.

Niezdrowymi odruchami zdradza zarazem krwawą erekcję i pragnienie wymagające bezwstydu i zbrodniczej rozwiązłości.

Toteż nie obawiam się twierdzić, że moja twarz jest skandalem, a moje namiętności wyrazić może jedynie WEZUWIUSZ.

Ziemski glob pokryty jest wulkanami służącymi mi za odbyt.

Choć glob ten niczego nie zjada, to wyrzuca niekiedy na zewnątrz zawartość swych wnętrzności.

Zawartość ta wytryska z hukiem i spływa po stokach Wezuwiusza, siejąc wokół śmierć i przerażenie.

Istotnie, erotyczne ruchy gleby nie są tak płodne, jak ruchy wód, ale znacznie gwałtowniejsze.

Ziemia brandzluje się niekiedy w szale, i wszystko na jej powierzchni się rozpada.

Wezuwiusz stanowi zatem obraz erotycznego ruchu, który, robiąc wyłom, daje siłę gorszącej erupcji ideom zawartych w umyśle.

Ci, w których wzbiera siła erupcji, nieuchronnie stanowią doty.

Komunistyczni robotnicy wydają się burżuazji równie szpetni i brudni, jak narządy płciowe albo owłosione i podle części ciała: wcześniej czy później wyniknie z tego gorsząca erupcja, podczas której bezpłciowe i szlachetne głowy burżuazji zostaną ścięte.

Kłęski, rewolucje i wulkany nie oddają się miłości z gwiazdami.

Erotyczne wybuchy rewolucji i wulkanów są w sprzeczności z niebem.

Tak jak gwałtowna miłość, następują one wbrew płodności.

Płodności nieba przeciwstawiają się ziemskie kłęski, obraz nieuwarunkowanej ziemskiej

miłości, erekcja pozbawiona ujścia i ograniczeń, zgorzenie i przerażenie.

Tak oto miłość wyrwa się krzykiem z mej piersi: jestem *Wezuwiuszem*, nieczystą parodią gorącego i oślepiającego słońca.

Pragnę zostać zamordowany gwałcąc dziewczynę, której mógłbym powiedzieć: jesteś nocą.

Słońce kocha wyłącznie Noc i kieruje ku ziemi swoją świetlistą przemoc, podłego kutasa, ale niezdolne jest przyciągnąć wzroku nocy, choć otulone nocą obszary ziemi stale zwracają się ku nieczystym promieniom słońca.

Słoneczny krąg jest nietkniętym odbytem jej osiemnastoletniego ciała, z którym nie może się równać nic tak oślepiającego z wyjątkiem słońca, chociaż *odbyt* jest *nocą*.

Przełożył Bogdan Banasiak

Tekst *L'anus solaire* napisany został w roku 1927. Pierwodruk z ilustracjami wykonanymi rylcem przez André Massona ukazał się w liczbie 100 egzemplarzy w wydawnictwie Galerie Simon, Paris 1931. Przekład wg G. Bataille, *Oeuvres complètes*, t. I. Gallimard, Paris 1970, ss. 79–86 [przyp. tłum.].

Bataille

– vivere mortem

Bataille nie odkrywa *terrae incognitae*. Przypomina raczej o czymś, co w jego przekonaniu stanowi fundamentalną prawdę o człowieku, a czego nie mogą dostrzec nauka ani filozofia, gdyż obie – ze względu na własny status i strukturę – odnoszą się do jednej tylko sfery rzeczywistości, w dodatku tej, którą same kreują. Filozofia i nauka, jakkolwiek różnią się od siebie – przedmiotem, celem, metodą – są, według Bataille'a, w jednakowym stopniu specjalizacjami, niezdolnymi odpowiedzieć na najbardziej ogólne pytanie o sens człowieka, jego znaczenie w stosunku do tego, czym sam nie jest, a więc wobec zwierzęcości i sakralności. Możliwość odniesienia się do czegoś całkiem innego zniknęła bowiem w inaugurującym filozofię – a zarazem wszelką wiedzę – momencie zerwania z mitem, czyli światem niepodatnej na przywłaszczenie w dyskursie przemocy. Stało się tak, kiedy w trosce o bezpieczeństwo ludzkiego gatunku, którego celem jest przetrwanie, Platon nakazał „wyjście z jaskini”, to znaczy przezwyciężenie przy pomocy rozumu sfery instynktów, utożsamionej z chaosem i wtrącającej w chaos – symbol zagłady przytomnej myśli.

Znaczenie Platonskiego gestu wykracza poza kontekst historii filozofii. W tej bowiem mierze, w jakiej odparcie chaosu (porozów, nieredukowalnej przemocy natury) łączy się u Platona z uprzywilejowaniem *ratio*, filozofia okazuje się wykładnią całej zachodniej kultury, skoro człowiek i tworzone przezeń instytucje przetrwać mogą tylko dzięki respektowi wobec odzyskanych przez filozofię zasad rozumu. Bez ich uznania nigdy nie pojawiłaby się możliwość osiągnięcia przez człowieka autonomii, a zatem możliwość gatunkowego wyodrębnienia się ludzkości w przyrodzie.

Racjonalność, będąca zasadą zachodniej kultury, zespolona jest z użytecznością: naszą skłonność do implikowanego w kulturze uniwersalizmu wytłumaczyć możemy tylko tym, że ogólne normy, do których przestrzegania nakłania rozum, chronią nas przed spotkaniem z niebezpiecznym partykularyzmem instynktów, z rzeczywistością chaosu, czyli ze śmiercią.

Świat kultury istnieje więc jako świat powstrzymanej czy odroczonej śmierci, a zatem – zasadniczo – jako świat pracy, gdyż kulturogenna i poręczająca gatunkowe przetrwanie ludzkości świadomość konstatuje się poprzez projekty, których istotę stanowi cel, możliwy do urzeczywistnienia w przyszłości, i odwołana przyjemność.

O ile świat pracy nie może być regionem zaspokojenia wszystkich ludzkich aspiracji – człowiek nie tylko pragnie stwarzać siebie, wybiegając ku temu, czym nie jest, ale manifestuje potrzebę spełnienia tu i teraz (śmiech, ekstaza, fascynacja, erotyzm, lzy), o ile istnienie pod postacią projektu nie wyczerpuje totalności, jaką jest człowiek, o tyle filozofia, redukująca byt ludzki i całą rzeczywistość do wymiarów racjonalności, okazuje się uroszczeniem. I nic nie pomogą zaklęcia, do jakich odwołują się uwolnieni z pęt ortodoksji (zainicjowanej w Grecji uniwersalistycznej tradycji myślenia) filozofowie: dopóki jest tylko dyskursem, dyscypliną wykorzystującą jako wyłączne tworzywo pojęciowy język, dopóki jest więc konieczną fetyszyzacją uniwersalności, filozofia, a wraz z nią kultura Zachodu, nie wyraża istoty człowieka.

W przeciwieństwie do filozofów, poszukujących jedności człowieka i świata (w człowieku i świecie), dążących więc do ustanowienia totalnej harmonii pod egidą rozumu (w tym sensie heglizm jest kwintesencją filozofii i, jako taki, sprowadza do naśladowstwa wszystkie następujące po nim

filozoficzne przedsięwzięcia), Bataille mówi o heterogeniczności bytu i rozdarciu egzystencji ludzkiej między dwiema realnościami: 1) światem profanum (kultury, pracy, użyteczności, nieciągłości, czyli zinstytucjonalizowanego zakazu dotyczącego śmierci), światem w którym obowiązują prawa klasycznej ekonomii (gromadzenie dóbr i konsumowanie ich tylko w takiej mierze, w jakiej jest to niezbędne do odtworzenia sił wytwórczych, wykorzystywanych ponownie do produkcji i akumulacji) i gdzie człowiek – zamknięty w granicach swej świadomości, oddzielony od innych, nieciągły byt indywidualny – troszczy się o uchronienie przytomnej jaźni, tego, co jest znakiem jego zwycięskiej wobec śmierci autonomii i co

sprowadziła do poznania; jeśli więc racjonalne utożsamienie zostało w filozoficznym projekcie uniwersum z użytecznym, to doświadczenie wewnętrzne, odpowiadające „bezkompromisowemu kwestionowaniu wszystkiego”, stanowi przywrócenie człowieka jako pożądania i zakłada transgresję rozumowego ładu. By nie ulec trywializacji, pożądanie musi być bowiem nieustanną transgresją, gdyż istnieje jedynie dzięki napięciu się ku jeszcze nie osiągniętemu, znika zaś w chwili spełnienia. Negacja, będąca instancją pożądania, sprawia więc, iż tożsamy z nim byt ludzki rozpuszcza wszelką przedmiotowość a wraz z nią własną koherencję i – jako ekstaza – konfrontowany jest z nicością. Nicości, która jest w sposób oczywisty tylko figurą śmierci, nie usiłuje on już mediatyzować, jak zawsze czyniła to, chcąc zneutralizować absolutnie wykorzystujący charakter śmierci, filozofia. To właśnie filozofia, jako strażnik gatunkowych praw, dbała o przetrwanie tożsamej jaźni – skoro dla ek-statycznej egzystencji okazuje się ona jedynym żywiołem. Zamiast naturalnych w przypadku nieciągłych bytów prób odwołania definitywnego kresu, pojawia się osobliwa skłonność i admiraacja: „Zbliżyć się do śmierci na tyle, by móc oddychać nią jak tchnieniem ukochanej istoty”; „śmierć nie jest, jak niegdyś sądziłem, zimnym szkieletem, ale bachantką – młodą, pijaną i piękną”.

Pożądanie rozbudzone fantazmatem suwerenności – która nie istnieje jednak w doświadczeniu wewnętrznym jako cel, gdyż indywidualum jest wolą suwerenności w ta-

lub wzburzenia. Stąd nie związane z użytecznością wydatkowanie i przekreślające zapobiegliwość standardowej konsumpcji pochłanianie stanowią formy aktywności, w jakich – w sensie najbardziej pierwotnym – człowiek manifestuje w świecie swą obecność. (W ten sposób objaśnić można status erotyzmu – rozjątrzonej gwałtowności, ignorującej użyteczność i rozpuszczającej codzienną koherencję indywidualum, bez której nie mogłoby ono stać się pełnoprawnym uczestnikiem wywyższonego przez filozofię świata pracy, czy też wspólnoty rządzonej zasadą powszechnej komunikacji.

Zarówno w doświadczeniu wewnętrznym – które uznać można za eksperyment, jakiemu, pod wpływem mrocznych sił, indywidualum poddaje swą egzystencję jak i w koncepcji natury i człowieka, z której kosmogoniczna spekulacja czyni pozór nauki dowodzi Bataille, iż byt ludzki, na przekór intencjom zespolonym z filozoficznym projektem rzeczywistości, pozostaje w związku z sakralnym światem przemocy; światem, który samej tej rzeczywistości grozi unicestwieniem. Bataille odwraca tym samym tradycyjną w kulturze Zachodu relację między racjonalnym i nieracjonalnym; relację, która opierając się na historycznie usankcjonowanej przewadze rozumu sprzyjała podtrzymywaniu wiary, iż *ratio*, jako instrument ludzkiego panowania w świecie, odniesie w końcu zwycięstwo nad chaosem. Z ufundowanego w „doświadczeniu przeżytym” przekonania Bataille'a, iż jest to uzurpacja, mająca źródło w naiwnym filozoficznym optymizmie, wypływają dwie pozytywne konstatacje: pozytywne dla jego własnego stanowiska, dla zachodniej kultury będące natomiast zapowiedzią jej potencjalnej konwersji. Wnioski owe dotyczą dwu kwestii, z których sama ta kultura uczyniła zagadnienia fundamentalne – mianowicie kwestii statusu człowieka i statusu myśli. Bataille napisał: „Człowiek istnieje po to, by miał kto oglądać niebo i słońce” oraz „Moje myślenie porównać mógłbym do gestu dziewczyny unoszącej sukienkę. U kresu swego ruchu myśl jest bezwstydem, samą obscenicznością”.

Georges Bataille (1897–1962), pisarz francuski, z wykształcenia archiwista; erotyzm i śmierć stanowią dwa obsesyjne motywy jego dzieła, które nie istniałyby bez myśli wielkich antenatów (Sade'a i Nietzschego), przyswojonej w toku żarliwej lektury; współtwórca życia intelektualnego we Francji w latach 30., uwikłany w polemiki filozoficzne i polityczne m.in. z surrealismem i wyznawcami ortodoksyjnego komunizmu; założyciel tajemnego stowarzyszenia „Acéphale” i efemerycznego pisma pod taką samą nazwą, gdzie opublikował swoje najbardziej nieprzejednane artykuły; jeden z twórców *Collège de Sociologie*, zajmującego się badaniem irracjonalnych zjawisk społecznych, w których manifestuje się obecność *sacrum*; inicjator lub współpracownik czasopism społeczno-politycznych i literackich („*Critique sociale*”, „*Documents*”, „*Critique*”); wydał m.in. *Histoire de l'oeil* (1928), *Madame Edwarda* (1941), *Experience intérieure* (1943), *La part maudite* (1949), *La littérature et le mal* (1957), *Le bleu du ciel* (1957), *L'erotisme* (1957); do końca lat 60. obecny w literaturze francuskiej w sposób nader dyskretny; renesans jego dzieła rozpoczyna się w latach 70. (m.in. kolokwium zorganizowane przez Ph. Sollersa w Cerisy-la-Salle); w r. 1971 „*Gallimard*” inicjuje też edycję jego *Dzieł wszystkich* (XIII tomów); Bataille to nie tylko człowiek pióra, ale również niezwykła osobowość (trudno zresztą w jego przypadku oddzielić dzieło od życia, skoro „nie pisał nigdy o tym, czego nie przeżył”); Madeleine Chapsal, autorka wywiadu przeprowadzonego z pisarzem na rok przed jego śmiercią, tak wspomina wizytę w Orleans u starzejącego się Konserwatora tamtejszej biblioteki: „(...) Fascynujące było uczucie, jakiego doznałam w rozmowie z tym gasnącym już mężczyzną: uczucie, że tkwimy w ciasnym więzieniu, ciele, kondycji ludzkiej, i że całym swym byciem dążymy tylko do jednego – przerwania tych absurdalnych, krępujących nas więzów (...). Byłam wstrząśnięta czy raczej oczarowana. Miałam wrażenie, że gdybym mogła rozmawiać z tym, odważnym pisarzem przez kilka dni, drzwi, do których ledwie zapukałam, otworzyłyby się w końcu na oścież... Niebezpieczny Bataille! (...) Wszystko o czym mówił, było mi tak bliskie, a zarazem, jeśli chciało się żyć, trzeba było koniecznie o tym zapomnieć (...). Opuściłam go w taki sposób, w jaki rozstajemy się z drogą istotą, której, jak sądzimy, nie zdołamy już więcej zobaczyć: obiecując sobie nigdy nie wracać (...)” (M. Chapsal, *Envoyez la petite musique*).



Bataille

JACEK GAWŁOWSKI

niemożliwia kontakt z sakralnością; oraz 2) światem *sacrum* (to znaczy zawieszonoego przez transgresję zakazu), oferującym spotkanie z tym, co z punktu widzenia świadomego ja ocenić można jedynie jako potworność. *Sacrum*, według Bataille'a, nie jest bowiem, jak w chrześcijaństwie, pozbawioną związków z ziemią, usytuowaną w transcendencji sferą, ku której wierny zbliża się poprzez miłość i zachowanie wyzbyte przemocy, lecz nie poddającym się jakimkolwiek zawłaszczeniu w dyskursie (filozofia) regionem mrocznych sił – instancją wywłaszczenia ze wszystkiego, ku czemu na co dzień zwraca się człowiek, pragnąc ocalić swój uprzywilejowany status istoty obdarzonej świadomością.

Istnienie *innego świata* – wątpliwe dla egzystencji, dopóki sferą realizacji jest dla niej rzeczywistość rządzona zasadą użyteczności – okazuje się prawdą *doświadczenia wewnętrznego*. Bataille nazywa tak egzystencjalną postawę polegającą na rozwijaniu aż po kres tkwiących w człowieku możliwości.

Jeśli filozofia, która w obawie przed spotkaniem z nicością (fundamentalną przemocą natury, chaosem instynktów) zredukowała człowieka do świadomości, a stosunek, w jakim pozostaje on wobec świata,

kim samym stopniu jak podlega jej wymogowi – staje więc w obliczu śmierci, czyli wobec niweczącego wszelką indywidualną tożsamość *sacrum*. Człowiek oderwany od codzienności, w jaką wtrąca go siła gatunkowej inercji i jaką *de facto* stymuluje kultura – uczestnictwo w kulturze, odbłasku świata pracy, jest tylko prowizorycznym uwzniośleniem codzienności, wysubtelnioną formą potocznego życia, ku któremu zwraca nas instynkt przetrwania – okazuje się bezpośrednio związany z sakralnością: domeną bycia, o jakiej zapomniał, podlegając indoktrynacji obóstwionego w filozofii rozumu.

Redukcjonistyczne skutki filozofii i wylansowanego przez nią projektu istnienia (poznania), podważa Bataille'owska antropologia, której zasadniczy sens polega na przywróceniu/odzyskaniu zignorowanego czy strywalizowanego w zachodniej kulturze *sacrum*. Podstawą tej koncepcji człowieka i świata jest swoista kosmogonia, przywołująca pojęcie *nadmiaru*: nadmiar stanowi rudymentalną własność natury, gdyż Słońce, odpowiedzialne za podtrzymywanie życia, dostarcza energii, nie żądając nic w zamian; w naturze gromadzi się więc energia, która musi zostać roztrwoniona pod postacią nieokielzanej żywiołowości

- Boję się - powiedziała Maria.
Nie spuszczała z hrabiego oczu.
Męczyła ją czkawka: mówiła obłąkańczym szeptem do ucha oberżystki:
- To duch Edwarda.
- Jakiego Edwarda? - zapytała oberżystka cichym głosem.
- On umarł - równie cicho odpowiedziała Maria.
Chwyciła rękę oberżystki i ugryzła.
- Suka - wrzasnęła ugryziona. Lecz oswo-
bodziwszy rękę, pieściła Marię i dotknęła
ustami jej ramienia; powiedziała do hrabiego:
- Mimo wszystko jest słodka.

MARIA WIDZI DUCHA EDWARDA

Z kolei hrabia zapytał:
- Kto to jest Edward?
- Nie wiesz już, kim jesteś - odpowiedziała
Maria.
Tym razem głos jej się załamał:
- Daj mi się napić - poprosiła oberżystkę.
Wydawała się u kresu sił.
Hrabia wypił swoją porcję i wyznał:
- Alkohol słabo na mnie działa.
Rozłożysty karzelek o zbyt mocnej głowie
przyglądał się Marii ponuro, jakby chcąc
wprawić ją w zakłopotanie.
Patrzył na wszystko w taki sam sposób,
z głową unieruchomioną między ramionami.
Zawołał:
- Pietrek!
Parobek zbliżył się:
- To dzieciątko - powiedział karzelek - pod-
nieca mnie. Zechcesz się przysiąść?
Gdy parobek usiadł, hrabia dodał ochotczo:
- Bądź miły, wybrandzuj mnie. Nie śmiem
o to prosić tego dziecka...
Uśmiechnął się.
- Nie przywykło, jak ty, do potworów.
W tym momencie Maria wchodzi na kon-
tuar.

MARIA WCHODZI NA KONTUAR

- Boję się - powiedziała Maria. - Wy-
glądasz jak słup.
Nie odpowiedział. Pietrek ujął jego członek.
Karzelek był rzeczywiście niewzruszony jak
słup.
- Idź stąd - powiedziała Maria - albo na
ciebie naszczam.
Weszła na blat i przykucnęła.
- Będę zachwycony - odpowiedział potwór.
Jego szyja była sztywna: gdy mówił, poruszał
się tylko podbródek.
Maria szczała.
Pietrek zwał brandzował hrabiego, któ-
remu kaskada spadła na twarz.
Zalana uryną twarz hrabiego nabiegła
krwią. Pietrek brandzował tak, jak się całuje
i członek wyrzucił wkrótce spermę na kamizel-
kę. Karzelek charczał, wstrząsany drgawkami od
stóp do głowy.

MARIA SZCZA NA HRABIEGO

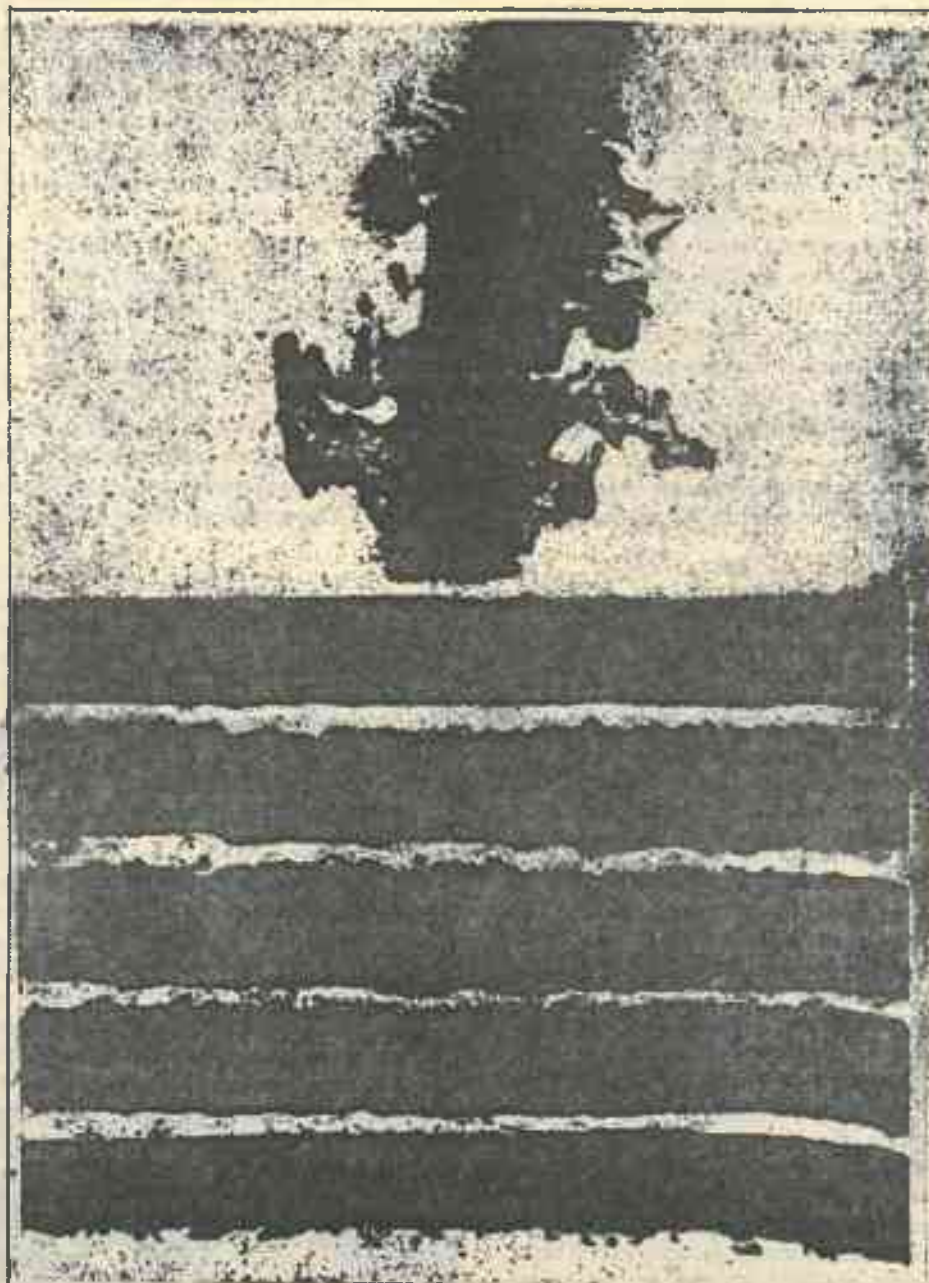
Maria wciąż szczała.
Na kontuarze wśród butelek i szklanek
oblała się uryną, rozprowadzając ją rękoma.
Zmoczyła sobie nogi, dupę i twarz.
- Spójrz - powiedziała - jestem piękna.
Gdy przykucnęła, na wysokości głowy
potwora, jej pizda otworzyła straszliwie
swe wargi.

MARIA OBLEWA SIĘ URYNĄ

Maria uśmiechnęła się z goryczą.
Odrażający widok...
Jedna jej noga zsunęła się: pizda ugo-
dziła hrabiego w głowę.
Stracił równowagę i runął.
Ciskając gromy, oboje zwałili się na
podłogę w nieprawdopodobnym zgiełku.

MARIA SPADA NA POTWORA

Powstało straszliwe zamieszanie.
Maria wywikłała się, gryząc członek
wrzeszczącego karla.
Pietrek powalił ją na podłogę. Skrzyżo-
wał jej ramiona, inni trzymali jej nogi.



JÓZEF HALAS

Maria jęczała:
- Puść mnie.
Później umilkła.
W końcu dyszała tylko z zamkniętymi
oczymi.
Otworzyła oczy. Zobaczyła nad sobą
czerwonego, spoconego Pietrka.
- Pocałuj mnie - powiedziała.

MARIA GRYZIE CZŁONEK KARLA

- Pocałuj ją, Pietrek - powiedziała
oberżystka.
Krzątali się wokół ofiary.
Maria opuściła głowę, zażenowana ty-
mi przygotowaniami. Układali ją, roz-
wierali uda. Oddychała szybko i głośno.
Swoją powolnością scena przypomina-
ła zarzynanie wieprza, albo złożenie boga
do grobu.
Pietrek miał opuszczone spodnie - hra-
bia zażądał, by był nagi.
Efeb zaszarżował niczym byk: hrabia
ułatwił wejście członka. Ofiara dygotała
i szarpała się: ciało z ciałem w niewiarygo-
dnej nienawiści.
Inni przyglądali się z zaschniętymi gar-
dami, porwani widokiem tego szau. Ciała
złączone narzędziem Pietrka wily się na
podłodze w gwałtownym pojedynku.
Wreszcie niebezpiecznie odchyłony, bliski
utruty tchu parobek wytrysnął, a Maria
odpowiedziała mu śmiertelnym spazmem.

MARIA JEBANA PRZEZ PIETRKA

...Maria odzyskała świadomość.
Słyszała śpiew ptaków w gałęziach
drzew.
Nieskończenie delikatne melodie prze-
mikały wśród ulistnionych koron. Wy-
ciągnięta w wilgotnej trawie, widziała nad
sobą czyste niebo: rodził się nowy dzień.
Czuła chłód, w uścisku lodowatego
szczęścia, zawieszona w nieznannej pustce.
Gdyby jednak mogła lekko unieść głowę,
która opadła jej z wyczerpania, pozos-

tałaby wierna światłu, listowiu i zamiesz-
kującym las ptakom. Nagle obudziła się
w niej pamięć dziecięcych zatrwożeń.
Spostrzegła, pochyloną nad sobą, szeroka
i masywną głowę hrabiego.

MARIA SŁUCHA ŚPIEwu PTAKÓw

Z oczu karla wyczytała Maria przynag-
lenie śmierci: jego twarz wyrażała tylko
nieskończone rozczarowanie, wskutek
straszliwej obsesji zamienione w cynizm.
Poczuła, jak wzbiera w niej nienawiść,
bała się nadchodzącej śmierci.
Podniosła się, zaciskając zęby.
Stojąc przed kłęczącym karlem drżała.
Cofnęła się, spojrzała na hrabiego
i zwymiotowała.
- Widzisz - rzekła.
- Czujesz się lepiej? - zapytał hrabia.
- Nie - odpowiedziała.
Patrzyła na swe wymioty. Podarty
płaszcz źle osłaniał jej nagość.
- Dokąd idziemy? - zapytała.
- Do ciebie - odparł hrabia.

MARIA WYMIOTUJE

- Do mnie - wyjęczała Maria. Znow
odwróciła ku niemu głowę.
- Jesteś diabłem i chcesz pójść ze mną?
- zapytała.
- Tak - odrzekł karzelek - mówiono mi
nieraz, że jestem diabłem.
- Diabeł - powiedziała Maria - sram
przed diabłem!
- Przed chwilą zwymiotowałaś.
- Będę srać.
Przykucnęła i nasrała na wymioty.
Potwór wciąż jeszcze kłęczał.
Maria oparła się plecami o dąb. Mokra
od potu, w transie.
Powiedziała:
- Wszystko to nic nie znaczy. Ale
u mnie będziesz się bał... Później...
Potrząsnęła głową i, dzika, ruszyła
niespodziewanie na karla, pociągnęła go
za kołnierz, krzycząc:
- Idziesz?

- Chętnie - odparł hrabia.
I dodał, niemal szeptem:
- Ona jest mnie warta.

MARIA SRA NA WYMIOTY

Usłyszawszy to, Maria tylko spojrzała
na hrabiego. Podniósł się:
- Nigdy - wymamrotał - nikt nie
mówił do mnie w ten sposób.
- Możesz się stąd wynieść - powie-
działa. - Ale jeśli pójdziesz...
Hrabia przerwał jej oschle:
- Idę z tobą. Dasz mi siebie.
Nie zmieniła ostrego tonu:
- Już czas - powiedziała. - Chodź.

MARIA ZABIERA ZE SOBĄ HRABIEGO

Szli pospiesznie.
Wstał już dzień, gdy przybyli. Maria
pchnęła furtkę. Wstąpił w aleję wysadza-
ną starymi drzewami; słońce złościło im
włosy.
Gniew Marii nie przeszkadzał jej pogo-
dzić się ze słońcem. Wprowadziła hrabiego
do swego pokoju.
- Skończone - powiedziała do siebie.
Była jednocześnie znużona, nieprzyjazna
i obojętna.
- Rozbierz się - powiedziała - czekam
na ciebie w sąsiednim pokoju.
Hrabia rozebrał się bez pośpiechu.
Słońce przebijało przez liście, wywołu-
jąc na ścianie taniec świetlnych cętek.

MARIA I KARZELEK WCHODZĄ DO DOMU

Hrabia był podniecony.
Jego członek wydłużył się i zaczerwie-
nił.

Nagie ciało i ów członek zniekształ-
cone były jak u diabła. Głowa między
kanciastymi i zbyt wysokimi ramionami
wyglądała trupiobłado i szyderczo.

Pożądał Marii i jego myśli ograniczały
się do tego pożądania.

Popchnął drzwi. Smutno naga, czekała
nań przed łóżkiem, prowokująca i brzyd-
ka: upicie i zmęczenie pokonały ją.

- Co ci jest? - zapytała Maria.
Umarły, w zamęcie, wypełniał pokój...
Hrabia cicho wybełkotał:

- ...nie wiedziałem...
Musiał oprzeć się o mebel: oklapł.
Maria uśmiechnęła się przerażająco.

- Zrobione! - powiedziała.
Miała oszupiałą minę, ukazując w pra-
wej ręce pękniętą ampułkę.

Po chwili upadła.

MARIA UMIERA

...Na koniec hrabia spostrzegł dwa kara-
wany podążające niespiesznie w stronę
cmentarza.

Karzelek gwizdnął przez zęby:
- Ona miała mi...
Nie zauważył kanału i poślizgnął się.
Plusk na chwilę przerwał ciszę.

Zostało słońce.

MARIA PODAŻA ZA UMARŁYM DO GROBU

Przełożył Krzysztof Matuszewski

Umarłego (Le mort) napisał Bataille prawdopo-
dobnie jesienią 1942 w czasie krótkiego pobytu
w Normandii: „Istnieje w każdym razie najściślej-
szy związek między *Umarłym* a pobytym w Nor-
mandii chorego na gruźlicę, którym byłem... (...) Wymyśliłem inne szczegóły, z wyjątkiem deszczu,
który padał niemal bez przerwy w październiku
czy listopadzie 1942. (...) Reszta związana jest
z gorączkowym podnieceniem seksualnym, w ja-
kim znajdowałem się tamtego dziwnego listopa-
da” (*Le mort. Notes, Oeuvres complètes*, t. IV,
Gallimard, Paris, s. 364). - Tekst, sprzedany
jednemu z wydawców już w 1944, ukazał się po
raz pierwszy dopiero w 1967 u J.J. Pauverta.
Niniejszego przekładu dokonano na podstawie
wydania w coll. „10/18” (*Madame Edwarda, Le
mort, Histoire de l'oeil*), Paris 1979, s. 59-86
(przyp. tłum.).

Po wyjściu z cenzorskiej narady, zwołanej w celu obłożenia zakazem nieczemnego dzieła Octave'a, Roberta miała pewne trudności ze zgubieniem olbrzyma, który, pobrzękując ostrogami, śledził ją od ulicy Royale; wraca wreszcie do siebie około drugiej w nocy. Przemykając schodami dla służby, by nie spotkać Octave'a ukrytymi drzwiami wchodzi do swej toalety, dostatecznie obszernej, aby przy okazji można było w niej pracować. Zdejmuje płaszcz, podchodzi do stojącego naprzeciwko wanny sekretarzyka, małej toaletki ze stojącym lustrem, na jej blat odkłada aktówkę wypchaną zakwestionowanymi manuskryptami. Otwiera ją, stwierdza brak dzieła Octave'a, które, wskutek fatalnej nieuwagi, zapomniała zabrać z narady; wstaje niezadowolona, zauważa w lustrze swe odbicie, dostrzega rozkwitłą cerę, przesuwając palcami po policzkach i z roztańczeniem maluje pomadką wargi. Można by przypuszczać, że znów zamierza wyjść, gdy widzi się jej wysoką, smukłą sylwetkę pochyloną w stronę lustra, zachwycającą twarz, ciemne włosy oplecione szeroką koroną warkocza, zacisnięte na pomadce palce, jasne paznokcie muskające wygięte w łuk wargi, prześlizgujący się po długich brwiach koniec palca, szare oczy, równie surowe jak regularne rysy, pomimo lekkiego uśmiechu, który pojawia się, gdy rozpinając czarną bluzkę z białymi wylogami, Roberta wsuwa rękę we wgłębienie pachy. Postanowiwszy wziąć kąpiel, odchodzi od lustra, w którym tonie jej znów poważna twarz; zatrzymuje się jednak przed sedesem, obok wanny, kładzie dłonie na pośladkach i zsuwa długą czarną spódnicę; spostrzega wówczas wystające z pojemnika na papier higieniczny strony jednego z rozdziałów cenzurowanego dzieła Octave'a, zatytułowanego *Tacita, olbrzym i karzeł*. Usadowiona na sedesie, po raz setny odczytuje obrażające ją elukubracje; bez wątpienia jest wystarczająco zadowolona z podjętej właśnie na naradzie decyzji, by zacząć sikać. Gdy jednak w otwartych drzwiach nagle i bezgłośnie ukazują się olbrzymia postać, przeraża ją to tak, że nie może już powstrzymać oddawania moczu. Hełm z czubem błyszczy mniej niż szklivo zębów i białka oczu w ogorzalej twarzy Victora. Pod szarym płaszczem niedbale zarzuconym na epolety ściska on w swej białej urękawicznionej pięści szpicrutę, drugą ręką wspiera się o biodro, jakby dla podkreślenia, że stoi tutaj od wieków, gdy tymczasem z rozporka wydobija się gigantyczny członek, który kieruje ku Robertcie swój gładki i cudownie nabrzmiały żółdź. W obliczu tego tryumfalnego i zuchwałego bezruchu, wypuściwszy kartki – z tej samej ręki, która jeszcze trzy godziny temu autorytatywnym gestem, palcami zaopatrzonymi w niebieski ołówek wskazywała urzędnikom niedopuszczalne passusy w książce Octave'a – Roberta próbuje wykonać taki sam gest, lekko unosząc dłoń ku niecznośnej wizji; twarz cenzorki nabiega jednak krwią i Roberta jest tylko w stanie wyciągnąć rozkazująco palec drżącej ręki: „Wydź!” – wydaje jej się, iż słyszy swój stłumiony głos, podczas gdy naprawdę zdołała tylko piękniejszemu siknąć. „Widać tylko to, co wychodzi” – pada w odpowiedzi, jakkolwiek nie słysząc żadnego głosu. I drzwi wyglądają znów tak, jak gdyby nikt ich nie otworzył.

Roberta podmywa się, poprawia gorset i wciąga długą czarną spódnicę, szukając uspokojenia w tych rutynowych gestach: był tak intensywny ów natrętny obraz, iż osobliwe rozczarowanie zawiesza niepokój Roberty, gdy stwierdza ona, że drzwi rzeczywiście są zamknięte; emocja wzmogła natomiast gorączkę w jej członkach; ponieważ nie wie jednak, co z nią począć i czemu nie zdołała zapobiec czerpaniu z niej przyjemności, inspektorka wpada w irytację; nagle u swych stóp spostrzega szpicrutę, schyla się, by ją podnieść i w momencie, gdy się wyprostowuje, czuje, jak pod spódnicą coś amorficznego i ciężkiego chwytają ją za łydki. Gdy zrazu chce się cofnąć, okazuje się, że coś trzyma kostki jej nóg jak w kleszczach; co najwyżej może się odchylić, zmuszona oprzeć kolana na niewidocznych ramionach,

gdy tymczasem spod spódnicy dobiega głos:

– Cóż myśleć o tym, że istnieje raczej coś niż nic? Czyż istnienia pozwalającego istnieć rzeczom, które są jeszcze tylko w byciu, nie należy pojmować niezależnie od tych rzeczy?

Uniósłszy spódnicę, Roberta znajduje dziwnego garbatego karła o głowie spaniela i przetłuszczonych lokach, przyglądającego się jej poważnie wielkimi błękitnymi oczyma. Zawstydzona – rozpoznała w nim bowiem „karakona”, najlepszego szpiega w swej komisji – i wściekła z powodu swego zawstyżenia, po raz pierwszy smaga go szpicrutą, on zaś wraca pod spódnicę i ciągnie dalej:

– Niezależnie od tego, jak się do niego odnosimy, nie możemy się odeń uwolnić,

Pierre Klossowski

Roberta dziś wieczór

w każdej chwili powraca ono samo z siebie, i jeśli istnieje coś, co chce, żeby istnienie było istnieniem, to jest to właśnie jego istota. (Słowa niewyraźnie dobiegały do Roberty spod spódnicy; chcąc bowiem sparować otrzymane w kark uderzenie, karzeł zanurzył twarz między uda Roberty i z nosem wciśniętym teraz w majtki inspektorki mówił dalej). Czy zatem od momentu, gdy pozwalała ona lub nie pozwala istnieć, pozwalała lub nie pozwala nazywać, mieliśmy prawo mienić ją cenzurą, zakładając w ten sposób, że cenzura zawsze istniała? Faktu bowiem, że nie można już nazywać tej istoty Bogiem, nie da się wyjaśnić inaczej, aniżeli uznając, że coś w istnieniu zabrania odtąd, by ją Bogiem nazywano.

Roberta uderza po raz drugi; smagnięcie osłabia spódnicę, którą ona unosi, by znów zobaczyć karła: dziwnie się uśmiechając, garbus przypatruje się Robertcie; z uniesionym ramieniem, palcami błyskającymi na rękojeści szpicruty, którą wymachuje ponad wysoko splecionymi włosami, okalającymi purpurową twarz, z nozdrzami buchającymi wściekłością, Roberta zamierza uderzyć po raz trzeci, gdy ktoś chwytają ją za nadgarstek; objawiając ją od tyłu, rękawica olbrzyma rozsuwa czarną bluzkę, wślizguje się pod pachę Roberty, rozrywa stanik i, obnażając jej ramię, z impetem spada na pierś. Po pierwszym ukąszeniu Roberta wypuszcza bat, a różowy sutek jej drugiej, uwolnionej spod bluzki piersi wylania się w rozcięciu czarnego jedwabiu.

OLBRZYM

(obmacując piersi Roberty)

Zechciej wybaczyć nam te zabiegi, pani, nam prostym substancjom bez ciała, w które ty sama jesteś tak miło przyobleczona, ty, korzystająca z przywileju podwójnej natury. My natomiast, wskutek nagłego odwrócenia żywej myśli, jaką byliśmy, trwamy – coż bowiem począć z naszym bytem – pod postacią umarłych myśli, pozbawieni jakiegokolwiek szansy powrotu do naszego pierwotnego stanu. Gdybyś była tylko czystym umysłem, za jaki niekiedy się podajesz podczas cenzorskich narad, i tak by cię nieprzerwanie napastowały myśli potężniejsze od tych, które dopuściłaś do siebie dzisiejszego wieczora. Skoro bowiem to ciało zostało ci przydane, jak powiadają, wskutek miłosierdzia, ażeby uchronić cię przed naszymi odwiedzinami, któż przywołał nas dzisiejszego wieczora, jeśli nie ty sama, pochylona przed lustrem, pozbawiona zupełnie wiary w to miłosierdzie? Któż inny, jeśli nie ty, usadowiona przed lustrem, pozująca na czysty umysł w sposób tak doskonały, że uwierzyliśmy, iż rozpoznajemy siebie w swoich gestach? Ponieważ jednak chodziło tylko o pozór twojej duszy, stworzonej po to, by zamieszkiwała ciało, które dzięki nam mogło cię zachwycać dzisiejszego wieczora,

możesz oto swobodnie wybierać między istnieniem poddanym duchom, w jakie wcale nie wierzysz, a życiem cielesnym, stanowiącym zwieńczenie dróg Boga, w którego bynajmniej bardziej nie wierzysz. Czyż nie jest to pierwsza nazwa, jaką usunęłaś ze słownika swych współczesnych? Cóż pocznieś teraz z nami i co my pocniemy z twoim ciałem? Czy je oszczędzimy, ponieważ jest jeszcze zdolne mówić, czy też potraktujemy je w taki sposób, jak gdyby na zawsze musiało zachować milczenie?

Podczas gdy olbrzym przytrzymuje jej rękę, z której wypuściła przed chwilą bat, inspektorka usiłuje przenieść swą lewą dłoń na rękawicę obmacującą jej piersi; widząc,

OLBRZYM

Nie wymagamy więcej, wystarczy, że złożymy wizytę podwójnym substancjom, aby przekonać je, iż nie jest nam bynajmniej potrzebny tego rodzaju przydzwiek. (Gwałtownym ruchem języka we wnętrzu dłoni Roberty przesuwając obrączkę w górę i w dół jej serdecznego palca, uprawiając sekretną grę, której skuteczność jest mu najwyraźniej wiadoma; Roberta chce oswoić rękę, on jednakże ciągnie dalej): *Octavo? Pro isto elucubrante*, po co ta komedia? Czy te daremnie zaciskane czarujące palce i ów serdeczny palec tak łatwo przenikalny dla umarłych myśli, że od zakończenia paznokcia *in actu* przechodzimy do twego *utrumisit*, nie dowodzą, iż posia-

dasz jeszcze swą cielesną powłokę, podczas gdy my wierzymy tylko, że już ją posiadamy? Jeśli to prawda, że musi się ona odrzucić ze swych prochów, mów, pani, mów i rozchyl tak dobrze zarysowane wargi, usta ukształtowane tak pięknie, że gdybym sam posiadał usta, pocałunkami zmiażdżyłbym

jak stają się przedmiotem odrębnego postrzeżenia, Roberta ma poczucie, że doświadcza ich po raz pierwszy: nigdy nie zauważyła, by były równie uległe i by ich sutki przęły się i twardniały równie szybko, jak w zagłębieniu szerokiej, ugniatającej je rękawicy. Ponieważ jednak nie mogła jes-



ARTAND POLAKOWSKI

cze przystać na oczywistą prawdę, podnosi rękę, którą napastnik za chwilę również uchwyci w nadgarstku; a jako że olbrzym chce zbliżyć ją do ust – ust, którym Roberta nie śmie przyjrzeć się w lustrze, podobnie jak nie śmie zobaczyć w nim siebie i dlatego opuszcza głowę – inspektorka zaciska uwięzioną dłoń; lecz olbrzym kąsa szyję Roberty w sposób tak wytrawny, że cenzorka odgina i rozchyla palce, wydając ich opuszki i owal kciuka ukąszeniom tak perfekcyjnym, że przenikają dreszczem całe jej ciało.

twoje, w obawie, by zbyt wcześnie nas nie nazwały. Przekonani przynajmniej o istnieniu twego ciała, zaniechalibyśmy, chociaż ze smutkiem, tego, co pozostaje do zrobienia dzisiejszego wieczora. Milczeniem zapraszasz nas jednak raczej do tego, by je zancgować. Zatem: *Andiamo!*

A gdy Roberta, ujeta za oba nadgarstki, na próżno wykonuje unik, by się uwolnić, oswoiadając tylko jedną rękę, olbrzym zrywa jej obrączkę z palca i kontynuuje:

- Twym wielkim błędem, według nas, jest to, że słyszysz dwóm panom, ponieważ wierzysz w jednego tylko o tyle, o ile pomaga ci on uwolnić się od drugiego, naprawdę nie wierząc w żadnego z nich. Starasz się wobec nas obronić oszukańczą doktrynę podwójnej substancji. Jesteśmy niepożądany mi myślami twego umysłu, dlatego przeciwstawiasz nam niemotę ciała, by obronić je przed naszymi działaniami; po co jednak je ochraniać, skoro przeciwstawiając je, dziś wieczór, swym myślom, sama oddzielasz umysł od ciała; cóż poczniesz więc ze swą integralnością, skoro nie polega ona bynajmniej na zasadzie zmartwychwstania ciała? Zabraniając wszak - wszystkim tym poetom, artystom, aktorom - pisać, malować, a zwłaszcza grać to, co odgrywamy teraz tutaj z twojej okazji, narzucasz im niemotę nieskazitelnego ciała, jak gdyby było już ono czystą ciszą umysłów. Toteż wobec tych złożonych substancji, wobec podwójnych natur, posługujących się mową dla wyrażenia właściwej im dwoistości, działasz jak prosta substancja, jak substancja umysłów które z braku cierpiącego ciała nie mogłyby odkupić swych win i mężnie trwać w duchowej śmierci; śmierci będącej naszym udziałem, której w tej chwili zaprzeczasz i której przeciwstawiasz pozór ciała, jak gdyby mogło ono odrodzić się w nie podlegającej zepsuciu postaci. Czy zatem zgadzałaś się z nami, odrzucającymi tę domniemaną tajemnicę jako zamach na naszą godność? Bynajmniej. Jeśli bowiem czystą ciszę prostej substancji zadowolimy nieobecności mówiącego ciała, to ty niezręcznie myślisz z tą ciszą niemoty żywego ciała. Otóż niemota podwójnej substancji, która istnieje tylko dlatego, że żyje poza bytem, wstrząsa umysłem, który trwa po śmierci. Substancja złożona z duszy i ciała natomiast, która zdobywa się na to, aby udawać w ten sposób śmierć substancji duchowej, wywołuje agresję bytu, w jakim trwamy po naszej śmierci. (Do Karla): *Piatto!*

Na te słowa karzeł u jej stóp ściga z niej spódnice. Obnażona, Roberta unosi zaraz kolano i chce odepchnąć swego szpiega obcasem, kopie w twarz garbusa, który, chwytając się lydek cenzorki, obejmuje znów jej długie nogi i, zbliżywszy nozdrza do ud Roberty, wodzi nosem od podwiązek po złączenia ciasno opinających ciało majtek, wypełnionych skarbem ściśniętym siatkowanym karczkiem między udami, skąd wysuwa się zaledwie parę kosmyków runa, skąd jednak teraz uderza również gorąca fala wstydu inspektorki, podczas gdy ze zwierzęcym zapachem miesza się zapach perfum z jej uwolnionej ręki, przeniesionej natychmiast na wycięcie majtek.

OLBRZYM

Niech Bóg broni, pani, byśmy podawali w wątpliwość twą zdolność do tego, by być prostą substancją; jeśli bowiem działasz jak prosta substancja i wyłącznie z prostymi substancjami masz do czynienia, nie tylko sama milcząc, ale zmuszając drugiego do milczenia na temat różnych zafalszowań umysłu przez ciało, nie wystarczy już, że zaprzeczasz zmartwychwstaniu ciała, zakazujesz watykańskiej propagandy z jednej strony, i każesz umierać z głodu pornografom, z drugiej. Musisz jeszcze dać nam dowody i podporządkować się lojalnie nieubłaganemu prawu, zgodnie z którym porozumiewają się czyste umysły; z większą dozą logiki niż prawdopodobieństwa watykański zakładają, że to nie umysł zmienia się w nas pod wpływem tego, co otrzymuje od innego umysłu, lecz że zmienia się właśnie ów inny, który daje mu poznać to, co on chce oznaczać. Otóż jeśli my poznajemy rzeczywiście wszystkie formy wrodzone, powiadają, doskonałość sprowadzałyby się w naszym przypadku do poznawania tego, co poszczególne, tak jak w odniesieniu do ciebie, pani, polegałyby na abstrakcyjnym poznaniu wszystkich rzeczy. Na jakiej podstawie można by więc oprócz wymianę między tobą a nami; przywiedziona do swej własnej abstrakcji, cóż mogłabyś nam wskazać, czego byśmy już nie znali, oprócz własnej woli? Bez wątpienia musiałaby się

nam ona wymykać, gdyby tylko istniał stwórca, który zna jej sekret; od momentu jednak, gdy przeczysz istnieniu jej depozytariusza, w jakim sposób twoja wola mogłaby jeszcze być dla nas sekretem, skoro już zamiast samej woli, moglibyśmy, przynajmniej poprzez negację, uchwycić jej cele? Albowiem, o tyle, o ile jesteśmy twymi oddzielnymi myślami, znamy lepiej, niż ty sama mogłabyś kiedykolwiek poznać, naturę tego, co cię porusza, i umiemy lepiej niż ty odczytywać znaki, jakkolwiek byłyby ambiwalentne, którymi miałabyś nadzieję wprowadzić nas w błąd. (Do Karla): *Piatto!*

Karzeł chwytając wówczas tak skutecznie za gorset Roberty, że majtki wysuwają się spod pasa do pończoch, obnażając boki i brzuch inspektorki; runo Roberty ściśnięte dotych-



ARTAND POLAKOWSKI

czas między udami siatkowanym karczkiem, wymyka się zaś całą swą owłosioną bujnością i ostry zapach unosi się natychmiast z jej *utrumsit*. A jako że „karakon” zabiera się zuchwale do podrywania końcem języka kępek ogrodu Roberty, inspektorka rozprostowuje gwałtownie smukłe palce w mrocznym gąszczu, gdzie zbiegając się i rozbiegając polyskują jej paznokcie i dokąd, stosownie do ich ruchu, najpierw przeniknąć pragnie język Karla. I oto, jeśli zewnętrzne dłoni zakazuje mu tam wstępu, aby ocalić zatwierdzone trzy godziny wcześniej zasady, to jej zwilgotniałe już wnętrze uświadamia sobie ich daremność, stając się współnikiem palców, które wślizgują się głębiej niżby należało.

OLBRZYM

Pragnąc ochronić życie umysłu od duchowej śmierci, nasz stwórca powołał do istnienia podwójną substancję, w której umysł zespolony został z mroczną siedzibą, ciałem, obrazem tajemnicy, jaką wszelka stworzona wola dzieli ze swym sprawcą. Zwęszyliśmy jednak dokonaną wobec nas zdradę i złączyliśmy z ciałem podatność na zepsucie przez umysł, które jest tylko dążeniem do zrozumienia znaków. Wówczas on, najprostszą i najbardziej tajemniczą z natur, postanawia stworzyć podwójną naturę i zająć tę mroczną siedzibę, by samemu stać się znakiem, dla nas niezrozumiałym, a tobie pozwolić przetrwać naszą niedyskrecję; lecz któżkolwiek odrzuca wraz z nami ten niezrozumiały znak jako mistyfikację, zamiast adorować go jako tajemnicę, wie doskonale, że słowo jest już ucieleśnieniem zdrady, a ruchy ciała pantomimą umysłów. Cóż więc pragniesz w ten sposób osiągnąć, pani? Jedną ręką zalecasz przesładować watykańskie skryby, drugą

przekreślasz dzieła pornografów. Nie ma zmartwychwstania ciała, mówisz jednym, i bardzo słusznie. Po cóż jednak zabraniać drugim powtarzania tej prawdy w naszym mimicznym stylu? Nie ma odkupienia umysłu przez podlegające zepsuciu ciało, z pewnością; dlaczego więc bronisz go jako nienaruszalnej ciszy? Nie jesteś zatem za pantomimą? A jeśli nie lubisz pantomimy, po cóż, u licha, każesz zamilknąć aktorom?

Pozbawiona majtek, z prawą dłonią uwięzioną w pięści kawalerzysty, Roberta odnosiła wrażenie, że nigdy dotąd jej ciało nie było tak mało zdolne na stawianie oporu, zakamarki na ukrycie, szczerość na skrywanie się; tak, że jej oczekiwaniu nie mogła sprostać pozostawiona na swobodzie

twoje ciało daje się odwołać. Dzięki czemu byłoby tak czarujące, jeśli nie dzięki słowu, które ono przemilcza; musisz je wyrazić, w obawie, by nie dojść do nieodwołalnego. Odpędź więc te myśli, mów, a wówczas my znikniemy. Milczysz? Zatem do dzieła.

Gwałtownym pchnięciem kolana między pośladkami zmusza ją, by szerzej rozwarła uda; palce Roberty wypuszczają wszystkie zwoje jej *utrumsit* na twarz garbusa. Powstrzymuje ona jeszcze ręką gębę cenzorskiego donosiciela i Octave z przyjemnością stwierdza, że karzeł widzi oto uniesioną dłoń inspektorki, niedawno oziębłą spoczywającą na słowach przeznaczonych do usunięcia, teraz zaś spotniała i wilgotna z powodu opanowujących umysł myśli, o paznokciach, na których, wskutek błuznierczego namaszczenia, zmatowiał już lakier; wystarczy, że karzeł wykona jeszcze jeden ruch językiem w aksamitnej zwodniczej dłoni, by Roberta ujrzała, jak gąszcz jej runa otwiera się na jej własną flagitację; czy to język Karla działa w ten sposób? Bynajmniej, to jej własne zuchwałstwo daje o sobie znać w wybrkach: rozdzielając jednym ruchem runo na *utrumsit* Roberty, rozległym i głębokim, rękawica całkowicie wyciąga *quidest* inspektorki; ponieważ zaś Roberta stara się jeszcze zasłonić ręką ten atrybut swej arogancji, atrybut niepodejrzewanych rozmiarów, olbrzym ujmując *quidest*, który w nadzwyczajny sposób erylguje między przybranyimi w skórę palcami agresora.

OLBRZYM

Twój śmiech, pani, nas obraża; mogąc mówić, milczysz, a udając, że milczysz, kpisz... Czy na tym poległa twoja prawda, ta, jaką wyraża tutaj twoje ciało, czy też zawiera się ona w tym mrocznym miejscu, dokąd udamy się zaraz na poszukiwania?

Unosząc kolano, Roberta sądzi, iż ukryje przed wzrokiem szpiega to, czego wciąż się wypiera; po chwili, przechodząc pod udami inspektorki, karzeł chwytając jej krągłe pośladki i raczy się nimi do woli. wreszcie je rozchyła.

OLBRZYM

Dowiedz się, pani, że cień wątplenia, jaki rzucalaby w tobie myśl, głębsza - wskutek umiłowania ciszy - od twej własnej myśli - manifestującej nienawiść do słowa - dosięgnąć mógłby tylko twej nieredukowalnej odmowy, i oto, jak w tym zwodniczym ciełe dzielisz z nami istnienie pod postacią prostych substancji, trwających po swej śmierci...

Słyszając te słowa, Roberta nie wie, czy drży ze wstydu - albowiem sentencja przybija, by się spełnić, potężna i kipiąca, między jej pośladkami - czy też poci się z rozkoszy, gdyż sentencja ta wdiera się do jej *vacuum*; ponieważ jednak *sedcontra* przeciwnika inspektorkę do tego stopnia, że zmieszala w niej zeszytnienie członków z uwolnieniem i elastycznością bólu, Roberta nie mogła przewidzieć ruchu rękawicy, która na pozostającym w stanie monstualnej erekcji *quidest* nakłada obręczkę, zdartą przed chwilą z cenzorskiego palca; jednocześnie *sedcontra* wycofuje się z *vacuum*, wskutek czego Roberta puszcza trzy baki.

OLBRZYM

Zresztą, jeśli ciało jest tylko wabikiem, słowo jest tylko tchnieniem; pochodzi więc od ducha.

Ujmując następnie palce Roberty, zmusza ją, by sama doprowadziła swój *quidest* do najdoskonalszego stanu; tak, że zaobraczkowany, wyprężony w całej swej oleistej zuchwałości, pochłonięty zostaje przez Karla tak, że inspektorka, nie mogąc dłużej nad sobą zapanować, zalewa swym łotrostwem podniebienie własnego szpiega...

przełożył Krzysztof Matuszewski

¹ Przekład wg oryginału: P. Klossowski, *Roberte ce soir*. Paris, Ed. de Minuit. 1954

kiem dwudziestym". Te słowa się potwierdziły. Jeśli dzisiaj Markiz jest głównym – obok Nietzschego – partnerem intelektualnego dialogu dla myślicieli tej miary co Foucault, Bataille, Klossowski, Deleuze, Barthes, Blanchot, Sollers, to nieporozumieniem byłoby odmawiać jego myśli kulturowego znaczenia czy też sprowadzać ją do wymiaru utrwalonych stereotypów.

– Czy jednak pisarstwo de Sade'a nie jest przede wszystkim pornografią?

– Jeśli – na użytek rozmowy – zgodzimy się określić funkcję „pornografii” jako dostarczanie czytelnikowi pewnej przyjemności, to pisarstwo de Sade'a nie bardzo mieści się w takiej definicji. Kto by szukał w nim tak zwanych momentów, może się zawieść – niektóre opisy niemal przyprowadzają o mdłości. Co jednak istotniejsze, ów „pornograficzny” wymiar tego pisarstwa stanowi tylko zewnętrzną tkankę, pewną przestrzeń porozumienia, dzięki której Markiz komunikuje to, co dla jego myśli istotne: walor filozoficzny. Walor ów nie ogranicza się jednak do społecznej i kulturowej krytyki, nie jest więc tylko kulturową rewindykacją sfery erotyzmu, obyczajowym wezwaniem rzuconym ciasnej moralności, wyzwoleną reakcją na krępującą ludzką podmiotowość religijne dogmaty. Nie daje się wpisać w ramy, by tak rzec, „rewolucji

zrozumieć; a ci czytać mnie mogą bezkarnie”, to ma zupełną rację. Człowiek „normalny” odrzuci ten sposób myślenia. De Sade zwraca się do tych, którzy – wyrokiem losu – myślą podobnie jak on, zwraca się – by użyć określenia Artauda – do tych „nielicznych jasnowzrocznych umysłów dobrej woli, którym przeznaczono szamotać się na tej ziemi”. Nie trzeba myśleć jak de Sade, ale udawać, że on i jego doświadczenie nie istnieją, albo nadal poddawać go represji – to byłby czysty obskurantyzm. Przywołam słowa Bataille'a, które często zdarza mi się powtarzać: „Dla kogoś, kto pytając o człowieka, chce dotrzeć do samych podstaw, lektura Sade'a nie tylko godna jest polecenia, ale absolutnie konieczna”.

– Rola, jaką w tym obszarze myśli odgrywa doświadczenie erotyzmu, każe uznać, że zakres zainteresowań i oddziaływania Towarzystwa nie sprowadza się tylko do sfery intelektualnej, ale wkracza też w sferę obyczajową.

– Istotnie. Jak zauważyłeś, przesądza o tym sam charakter zajmującej nas problematyki: filozofia spleciona z ateologią i erotologią. Nawiasem mówiąc, część członków Towarzystwa należy również do Partii Klerikalno-Erotycznej, która nawiązując m.in. do idei libertynizmu, za podstawowe zasady – obok wolności osobistej

Erotyzm i poszukiwanie absolutu

seksualnej”, w jakich z powodzeniem usytuować można pisarzy anglosaskich: Millera, Rotha, Nabokova, Lawrence'a. Kwestia dla de Sade'a zasadniczą jest to, co anglosaskiej literaturze erotycznej bodaj zupełnie obce, a na co szczególnie wyczulona jest literatura francuska – zwłaszcza Bataille, Klossowski, Blanchot, Pieyre de Mandiargues, Guyolat – mianowicie egzystencjalny i metafizyczny wymiar erotyzmu, jego bezpośrednia bliskość – jako doświadczenie granic – ze śmiercią. Dla de Sade'a erotyzm ma zawsze smak – czy może posmak – śmierci, podobnie jak doświadczenie przemocy i zbrodni, których specyfiką jest to, że ekstazyzują, czyli unicestwiają czysto ludzką dyspozycję – świadomość. De Sade zaś chce przeniknąć myślą te regiony, które wykluczają myślenie – sferę *sacrum*. Tym samym więc odsłania tkwiący w nas mrok – immanentną człowiekowi boskość. Toteż widzenie jego pisarstwa jako konwencjonalnie pojętej pornografii (choć, nawiasem mówiąc, nie mam nic przeciwko niej, powiedziałbym wręcz, że przyznanie jej prawa obywatelstwa jest papierkiem lakmusowym demokracji) byłoby nietrafne. U de Sade'a erotyzm ściśle się wiąże z filozoficznym i teologicznym problemem Absolutu, a raczej jego nieobecności. Sądzę więc, że określenie porno-teologia byłoby bardziej na miejscu.

– Tylko czy de Sade nie jest pisarzem niebezpiecznym, skoro jego dzieła pełne są gwałtu, przemocy i zbrodni?

– Jeśli pośród „pornografów” i libertynów – a we francuskim Oświeceniu było takich wielu – tylko de Sade padł ofiarą tak szczególnych prześladowań, to okoliczność ta każe spytać o powody represji. Choć Markiz spędził ponad 28 lat w więzieniach – wszystkich zresztą systemów politycznych ówczesnej Francji – to nigdy nie przedstawiono mu konkretnych oskarżeń. To nie z powodu jego własnych ekscesów ani z racji „pornograficznego” wymiaru pisarstwa spadły na niego wszystkie prześladowania, ale dlatego, że osmielił się pokazać, iż w każdym człowieku tkwi konstytutywna i niezbywalna mroczna cząstka: zaprzeczenie tego wszystkiego, co człowiek poczytuje za ład, użyteczność i racjonalność – przemoc i destrukcja. Tego człowieka „normalny” nie mógł, rzecz jasna, znieść, a tym bardziej zaakceptować. Wizja ta nie jest jednak apologią czy filozofią zbrodni – raczej „zbrodniczą” filozofią, filozofią rysującą drogę suwerennej myśli. Konsekwentne stawianie pytań na tej drodze podważa nasze przekonanie, iż człowieka konstytuuje autonomiczna dyspozycja *cogito*; ludzką podmiotowość wyznacza raczej pożądanie, mroczne siły, które – Nietzsche tego doświadczył – mogą wybuchnąć w świadomości, doprowadzić do rozpadu tożsamości „ja”. Czy to oznacza, że de Sade jest niebezpieczny? Kiedy Markiz pisze: „Zwracam się tylko do tych, którzy mogą mnie

i tolerancji – uznaje pluralizm wartości, postaw i poglądów, a także swobodę myśli i obyczajów oraz prawo do ich nieskrępowanego manifestowania. Przeciwnością jest zaś próba ideologicznej pacyfikacji społeczeństwa, głównie obecności religii w szkołach oraz inkwizytorskim zamachom na prawo kobiety do samostanowienia (projekt antyaborcyjny), partia opowiada się za równouprawnieniem ducha i ciała, za kulturowaniem cielesności i erotyzmu oraz za przywracaniem erotyzmowi funkcji afirmacji i rozkoszy, funkcji egzystencjalnego doświadczenia...

– Czy tę kwestię traktujecie wyłącznie w kategoriach teoretycznych?

– Muszę stanowczo zaprzeczyć. Teoria jest nierozłączna z praktyką. Ale w szczególności nie będę wchodził.

– Czy Towarzystwo, istniejąc w sposób nieoficjalny, prowadzi jednak działalność?

– Jeśli pominąć kilka wzmianek prasowych o losach Towarzystwa oraz o Markizie, to należy wspomnieć, że w ubiegłym roku udało się nam – przy okazji organizowanych w Łodzi przez Alliance Française Spotkań z Francją – przygotować wystawę poświęconą de Sade'owi. Większość działań prowadzimy jednak „w zakresie indywidualnym”. Można by tutaj wymienić potrójny numer „Colloquia Communia” (88, 1-3) poświęcony współczesnej humanistyce francuskiej. Mielśmy też pewien udział w przygotowaniu – w związku z rocznicą rewolucji francuskiej – numerów „Twórczości” (89, 7 i 8) oraz „Pisma literacko-artystycznego” (89, 7-8). Przygotowaliśmy również wybór prac Derridy oraz zbiór komentarzy dotyczących dekonstrukcji – obie rzeczy ukażą się w tym roku w wydawnictwie „Inter esse”. W najbliższym czasie w wydawnictwie „Spacja” ma się ukazać przełożona przeze mnie i Krzysztofa Matuszewskiego książka P. Klossowskiego, *De Sade mój bliźni*. W Wyd. Łódzkim już od pewnego czasu leży nasza wspólna antologia tekstów de Sade'a pt. *Powiedzieć wszystko*, w „Czytelniku” natomiast czeka przekład I tomu *Historii seksualności* M. Foucaulta. Obok tego opublikowaliśmy kilka szkiców w różnych czasopismach. W najbliższych planach mamy natomiast książkę o dekonstrukcji Derridy, przekład pracy Deleuze'a *Nietzsche i filozofia*, numer „Literatury na Świecie” poświęcony de Sade'owi, oraz najpoważniejszy zamysł: w wydawnictwie „Spacja” chcemy przygotować edycję *Dzieł Wszystkich de Sade'a*. Dodam też, że jeden z przyjaciół przygotowuje spektakl teatralny na motywach twórczości Markiza. Zresztą nasza rozmowa i cały ten numer „Tygodnika Literackiego” to także jakiś przejaw działalności Towarzystwa.

– Dziękuję za rozmowę.

– Ja również dziękuję.

rozmawiał Waldemar Gasper

muzyka

Sezon koncertowy PTMW

W 1990 roku Polskie Towarzystwo Muzyki Współczesnej organizowało koncerty w różnych miejscach – w Pracowni Dziekanka, w Filharmonii, w Akademii Muzycznej. Jednocześnie weszłym roku Towarzystwo nawiązało współpracę z Centrum Sztuki Współczesnej i razem z nim zrealizowało kilka programów – że wspomnę tylko projekcje video i koncerty z cyklu „Cisza i dźwięk” z muzyką Johna Cage'a, Iannis Xenakisa, Yukki Tien-suu, Sukhi Kanga, Alejandro Iglesiasa Rossi. Wszystko to odbywało się w sali „Laboratorium” czyli w dawnych pomieszczeniach gospodarczych tuż obok remontowanego Zamku Ujazdowskiego. To dziwne miejsce – zewnętrzne, odrapane ściany budynku kryją w sobie wnętrza, jakiego nie powstydziłoby się największe galerie Paryża czy Nowego Jorku.

1 marca w tej właśnie sali odbyło się zakończenie akcji koncertowej pomysłu kompozytora Tadeusza Wieleckiego, przeprowadzonej przez PTMW w kilku warszawskich liceach (w Staszicu, Reytanie, pierwszej szkole społecz-

nej, szkole muzycznej na Miodowej i w Liceum Sztuk Plastycznych). W tych wszystkich szkołach odbyły się po lekcjach koncerty złożone z fragmentów utworów znanych współczesnych kompozytorów – po kilka minut każdy fragment. Młodzież oceniała tę muzykę według prostego kryterium: podoba się, nie podoba, jest mi obojętna.

Pięć kompozycji, które uzyskały największą ilość głosów pozytywnych wykonano w „Laboratorium”. Wśród wyeliminowanych znalazły się utwory takich sław jak John Cage, Oliver Messiaen, Krzysztof Penderecki, Henryk Mikołaj Górecki, Kazimierz Serocki i Arvo Part. A co się spodobało? Zaczę od końca – podobnie jak zrobili to autorzy koncertu. Piąte miejsce: Steve Reich, „pięćdziesięcioletni nowojoreczyk. Studiował filozofię, kompozycję, rytmy muzyki afrykańskiej, muzykę indonezyjskiego gamelanu i liturgiczny śpiew hebrajski.

Obok Philipa Glassa twórcą „repetitive music” (zarówno ten, jak i następne cytaty pochodzą z programu tego koncertu). Kompozycja *Violin Phase* na skrzypce i taśmę znakomicie wykonana przez Tomasza Guza. Czwarte miejsce: Horacio Vaggione, „argentyńczyk urodzony w 1943 roku. Studiował kompozycję i estetykę. Zajmuje się muzyką komputerową i *live electronics*. Wykłada kompozycję na Uniwersytecie de Paris VIII.” Tytuł utworu: *bez tytułu*, a jest to grafika muzyczna, czyli wizualna inspiracja dla improwizujących muzyków. Subtelne brzmienie i ciekawą konstrukcję muzyczną zainspirowaną grafiką Vaggione przedstawił Monika Szczecińska na perkusji i Jacek Grudzień na syntezatorze. Trzecie miejsce: Louis Andriessen, opera *De Materie*, część III. Louis „przyszedł na świat w Holandii w roku rozpoczęcia II wojny światowej. Jeden z muzycznych „guru” Europy. Tworzy oryginalny, agresywny świat muzyczny przeznaczony „do słuchania”, a nie do intelektualnej analizy. Często sięga do jazzu,

Krzysztof Knittel

rocka, „minimal music”, lecz zawsze pozostaje sobą – dyskretnym mędrcom, którego słucha się z przyjemnością”. I rzeczywiście – nagranej na video czterdziestopięciominutowej części opery Andriessena w inscenizacji Roberta Wilsona słuchałem i oglądałem z przyjemnością, ba, z zapartym tchem – genialna muzyka, od początku do końca oparta na silnym, agresywnym, a zarazem bardzo wyrafinowanym pomysle rytmicznym. Nie będę opisywał fenomenalnych pomysłów inscenizacyjnych Boba Wilsona, bo wymagałoby to odrębnego tekstu z opisem jego scenografii z wyjaśnieniem filozoficznych podtekstów sytuacji wykreowanych na scenie i kompozycji ruchowych na duży zespół tancerzy (ta część opery w odróżnieniu od pozostałych jest właściwie baletem i chóralnie śpiewany tekst pojawia się w kilku zaledwie momentach). Sala „Laboratorium” tłumnie zapelniona młodymi ludźmi od piętnastu do dwudziestu lat z wielkim skupieniem oglądała to fascynujące, niedawno powstałe dzieło (nagranie video pochodziło z premiery w 1989 roku).

Drugie miejsce: kompozycja Jacka Grudnia („trzydziestoletni warszawiak. Spędził kilka lat w Londynie. Wielki marzyciel młodej muzyki polskiej”), utwór na saksofon i delay *Dźwięki noce*, pięknie zagrany przez Radosława Mleczko przy współpracy kompozytora, który osobiście zmieniał programy w procesorze; ta jednogłosowa muzyka, świetnie skonstruowana, została przyjęta dużymi oklaskami dla autora i wykonawcy. I wreszcie pierwsze miejsce: Grażyna Pstrokońskiej-Nawratil *Bis Joke* na fortepian i perkusję. Monika Szczecińska i Maciej Grzybowski rozpoczęli niezbyt



„Wejść bez obawy, przyjacielu”

STANISŁAW FIJAŁKOWSKI

teatr

Hanna Baltyn

Złoty róg

EUGÈNE IONESCO, *Nosorożec*, reżyseria Bogdan Augustyniak, scen. Krystyna Kamler, muz. Jan Zawierski, grają m. in. Krzysztof Chamiec i Józef Duriasz, Teatr na Woli, premiera w styczniu 1991

Od Zakładów Kasprzaka na Woli, aż do Bemowa i osiedla Lazurowa rozciąga się to, co kulturalni ludzie nazywają kulturalną pustynią.

Ostatnim przyczółkiem kultury zwanej wysoką jest Teatr na Woli, założony w 1976 w gmachu należącym do „Kasprzaka” przez Tadeusza Łomnickiego – wówczas rektora PWST, posła na sejm i członka KC, słowem człowieka, który wiele mógł. Faktem jest, że zbudowany przezeń sojusz ludzi sztuki z ludem pracy we wspaniałej (wtedy i teraz) sali teatralnej nie był inicjatywą chybioną. Teatr na Woli miał świetne przedstawienia, dobrych aktorów, gości międzynarodowe sławy (Polański z *Amadeuszem*). Te niedysyjsze przewagi dokumentuje wystawa w foyer. Tadeusz Łomnicki doczekał zaledwie piątego roku teatru. O tym, co było po jego odejściu, nie warto opowiadać. Ostatnio był to „Teatr Narodowy w Warszawie tymczasowo w siedzibie Teatru na Woli”, tak zwana „Narodnaja Wola”. Siedzibę zresztą „Kasprzak” chce odebrać. Afera trwa.

Ale „Kasprzak” sobie, a ministerstwo kultury sobie — od nowego sezonu dyrektorem oddzielonego od Narodowego wreszcie Teatru na Woli mianowano opromienionego kieleckimi sukcesami Bogdana Augustyniaka. Na premierę dał *Nosorożca* Ionesco.

Uczestnicy spotkania po premierze przeżyli wzruszające chwile. Nowy dyrektor z wianką purpurowych róż powitał pierwszego dyrektora mową wiążaną wzruszeniem; cała Warszawa biła brawo. Pierwszy dyrektor, który dotąd swą byłą scenę omijał dużym łukiem, poza łaskawą obecnością na premierze również wygłosił mowę, życząc zespołowi dalszej owocnej pracy. Życzenia te — jak sądzę — należałoby wzmocnić i zwielokrotnić. Zespół powinien pracować, pracować i jeszcze raz pracować. Pracować bez przerwy. Nie chcąc psuć nastroju obiecuję zatem nie pisać — jeszcze — o aktorach.

Ad rem zatem. Sala na Woli jest nie tylko znakomicie wyposażona technicznie, ale ma świetną, ruchomą architekturę wnętrza i daje się adaptować do wszelkich pomysłów. W *Nosorożcu* akcja dzieje się w centrum, poniżej krzesel widowni, w dwu bocznych skrzydłach (raz w sklepach, raz w mieszkaniach protagonistów) i w głębi, gdzie na ruchomym, przechodzącym od poziomu do kątego nachylenia podeście, zbudowano pokój biurowy. Ładną, liryczną i nastrojową muzykę ozdobioną świergotem ptaszek, towarzyszącą niezobowiązującym niedzielnym pogwarkom ludności pewnego miasta przerywa posępny błaszany tętent. To niewidzialny dla nas nosorożec, niczym *vorläufer* nowych Jezdźców Apokalipsy, galopuje chodnikiem *vis à vis* kawiarni. Intryguje: do jakiego też należy gatunku — afrykańskich, czy azjatyckich? Sprawę znakomicie gmatwa Logik, na śmierć kłóca się dwaj przyjaciele — Jan i Bèrenger.

Bèrenger to postać występująca w kilku sztukach Ionesco, to jego Everyman, to sztandar na którym dramaturg obnosił

całą bezradność, wrażliwość, indywidualizm jednostki zagubionej w bezwzględnym świecie. Pierwsi interpretatorzy *Nosorożca* wskazywali na związki sztuki z epidemiczną falą faszyzmu niemieckiego jako główne źródła metafory zawartej w tym niegdyś awangardowym dramacie. Ludzie ulegają zezwierzęceniu i nie bez znaczenia jest gatunek ssaków, w które się przestaczają nawet osoby wielkiej subtelności i kultury. „Są to zwierzęta dzikie i nieuglaskane, zamieszkujące miejsca wilgotne i cieniste, lubią się nurzać w błocie... — czytamy w Encyklopedii Orgelbranda — Odznaczają się nadzwyczajną siłą i odwagą; człowieka dobrowolnie nie napastują, ale bronią się zapalczywie i są bardzo niebezpieczne (...) skóra na całym ciele bardzo gruba”.

Bèrenger jest świadkiem, jak w nosorożca zamienia się jego najlepszy przyjaciel, znany moralista. Rozmowa się nie klei, Jan nie chce słuchać o narastającym, spanoszonem, terroryzującym miasto chamsztwie gruboskórnych zwierząt. Sam zaczyna głosić wyższość natury nad kulturą, powtarza gardłowym głosem „ja mam swój cel, ja walę prosto do celu”, „trzeba wyjść poza etykę”, a prawo moralne zastąpić prawem dżungli. Wrażliwy Bèrenger somatyzuje, wydaje mu się, że też rośnie mu róg na czole, ale nie poddaje się argumentom, że trzeba koniecznie iść za swoim czasem i swymi przełożonymi. Duch gromadki nie zwycięża w nim ducha anarchisty nawet wtedy, gdy ukochna Daisy, ostatnia ludzka istota w mieście, gdzie nawet telefon i radio ryczą głosami nosorożców, zamienia się w gróbskórca. Ryk i tupot nosorożców nie raz straszą widzów w ciemnościach. To sprawdzony efekt oddziaływania na psychikę.

Bardziej jednak wstrząsający jest efekt końcowy, gdy w kawiarni na placu zasiadają same nosorożce, wśród których krąży ciągle ludzki Bèrenger. Do tego wymownego obrazu alienacji reżyser dołożył mocną rzecz. W finale z sufitu zjeżdża ogromny złoty róg, wokół którego nosorożce skupiają się w niemym misterium.

Złoty róg to u nas symbol straconych nadziei. A może symbol nadziei odzyskanych? W białostockim *Wesele*, jak czytamy, goście państwa Tetmajerów mordują w finale Jaśka za zgubienie symbolicznego instrumentu. Może ten róg, co go Jasiek zgubił, znalazł się na Woli i wystąpił w roli fetysza dla nosorożców?

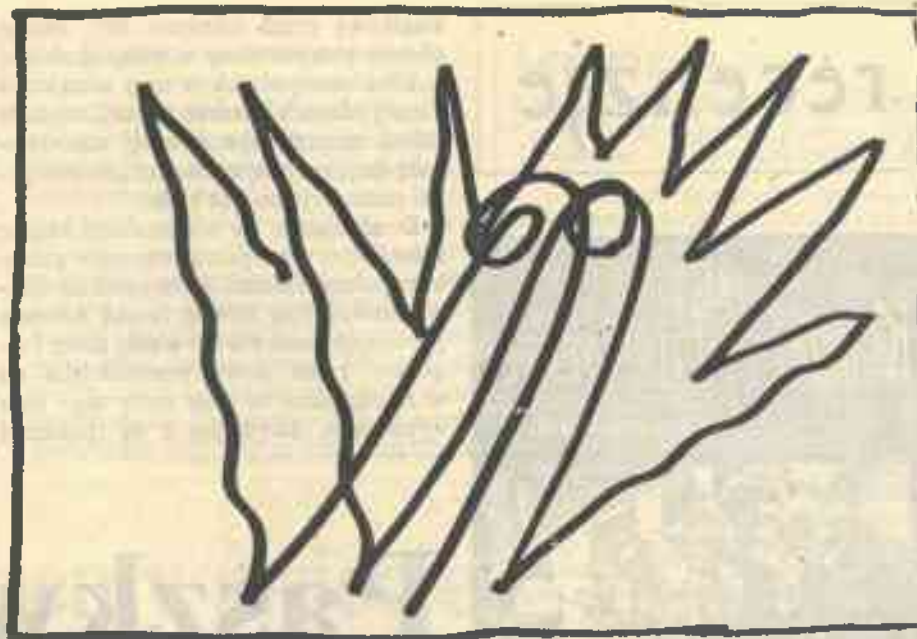
Ja wiem, kto to są nosorożce, ale nie powiem. Nosorożce nie robią krzywdy, byle ich nie zaczepiać i nie wchodzić w drogę. Inaczej mogą rozdeptać, co przydarzyło się na scenie pewnemu kotkowi.

GAS
KULTURY

NIEZALEŻNY MIESIĘCZNIK LITERACKI
WYDAWANY OD 1985 ROKU

POEZJA - PROZA - ESEISTYKA
FILOZOFIA - HISTORIA

W numerze najnowszym (listopad-grudzień 1990)
m.in. wiersze: S. MacLean, P. Bertozzoli, T. Tomala;
proza: T. Walle, L. Dymarski; teatry: P. Blumhald, W. Kot,
P. Caspiński, H. Müller, R. Zimand, R. Oluska-Kozym.
Ponadto: C.G. Jung o kobiecie, Anka posługująca
teatrem i literaturą



Magdalena Sulimowska

Triumf klapy

Kłapa jest odwieczną częścią życia teatralnego. Jest równie naturalna jak sukces i jej wizja od wielu lat spędza sen z oczu aktorów, reżyserów, antreprenerów teatralnych. W socjalizmie kłapę zlikwidowano – podobnie jak wiele innych, znaczących instytucji. Dlatego jej powrót na scenę jest wydarzeniem historycznym – w teatrze, któremu nie może przytrafić się Kłapa niemożliwy jest też autentyczny sukces. Ponieważ byłem świadkiem pierwszej powojennej kłapy teatralnej pozwolę sobie opisać wypadki po kolei. Otóż nabyłem bilety na czwarte z kolei przedstawienie *Shubu*

Witolda Gombrowicza w otwartym dopiero co po auto da fe Teatrze Rozmaitości. Gdy fatalnego dnia o oznaczonej godzinie w towarzystwie małżonki udałem się do teatru, był on zamknięty na glucho. Wszystko było zamknięte, włącznie z kasą, w której marnowały się moje pieniądze. Po pewnym czasie ukazał się cerber, który po zapoznaniu się z moim problemem oświadczył – „Ach, to ja mam dla pana pieniądze”. Wpuścił mnie do teatru, i tam zdumionemu wręczył kopertę z precyzyjnie odliczoną kwotą. Jak się okazało byliśmy z małżonką jedynymi chętnymi! Tak właśnie wygląda Kłapa. Jako człowiek powojenny nigdy kłapy nie widziałem ale opowiadali mi o niej przodkowie. Palma pierwszeństwa przypadła akurat na dobrze, po otwarciu, rokujący Teatr Rozmaitości, lecz już wkrótce kłapa zagości także w innych teatrach Rzeczypospolitej. Buntować się przeciw temu sensu nie ma. Pamiętajmy jednak, że zachowania bezsensowne są najpiękniejsze.

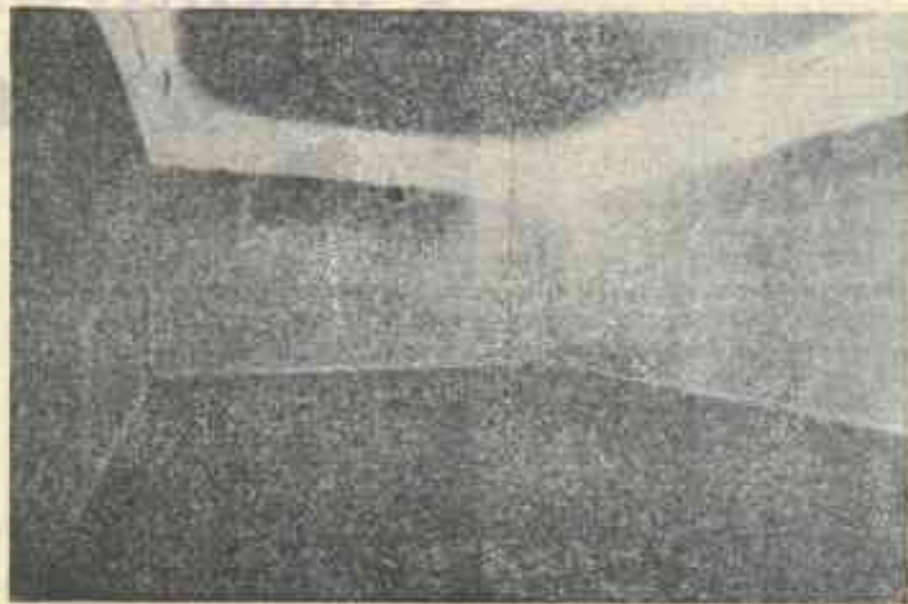
AA

sztuka

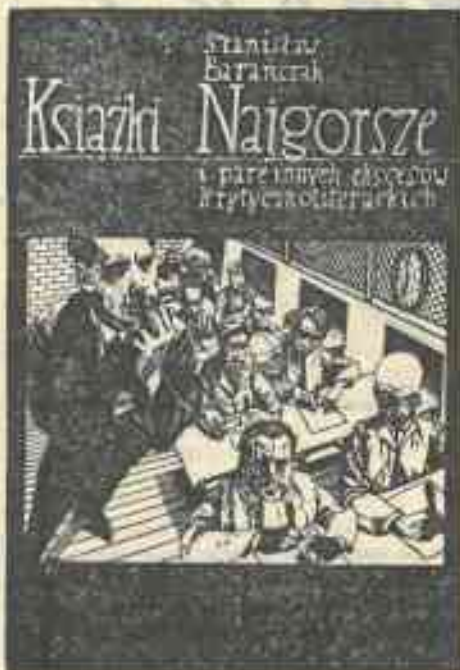
Koji Kamoji

Jezioro w piramidzie

Kiedyś, we śnie zjawilo mi się czarne jezioro, gdzieś głęboko. Często powracałem do niego myślą. Nie widziałem jeszcze piramidy, wyobrażałem ją sobie jako miejsce-punkt, określone promieniami słońca i rozległością pustyni. Nie wiedziałem, że czarne jezioro, które mi się śniło istniało zawsze we wnętrzu piramidy.



Koji Kamoji Jezioro w piramidzie, Galeria Foksal, luty 1991.



STANISŁAW BARAŃCZAK, *Książki najgorsze i parę innych ekscesów krytycznoliterackich*, wydawnictwo A5, Poznań 1990

O bok wydanych ostatnio kilkunastu (po)ważnych szkiców Stanisława Barańczaka, w księgarniach pojawiło się kilkadziesiąt – ustalmy na wstępie – zdecydowanie mniej (po)ważnych „ekscesów krytycznoliterackich” tegoż autora, zebranych w dziełku o wdzięcznym tytule *Książki najgorsze*. Dorobek spółki Feliks Trzymałko i Szczesny Dzierżankiewicz (1975–80), po raz pierwszy uhonorowany publikacją

książkową przed dziesięć laty, zostaje obecnie przypomniany w wersji skróconej o kilka nieczytelnych w swej aluzyjności i mniej udanych literacko recenzji, zarazem jednak rozszerzonej o „ekscesy” nieco świeższej daty, ze znanym tekstem „Samobójstwo sandauryzmu” na czele.

Dominującym we wspomnianej książce i ulubionym przez parę recenzentów gatunkiem polemiki literackiej jest paszkwil. Gruby, niewybredny dowcip (wszak autorem pierwszych paszkwili był włoski szewc Pasquino), kpina łatwo przeradzająca się w zniesławienie to stałe cechy tego typu wypowiedzi, decydujące o jej społecznej

nośności i uniwersalnym wymiarze. W Polsce w ciągu ostatnich dziesięcioleci paszkwil stał się bodaj najpopularniejszą formą prasowej dyskusji. Poetykę tego gatunku jeszcze do niedawna z podziwu godnym zaangażowaniem doskonalili nie tylko publicyści „Trybuny Ludu” i „Żołnierza Wolności”, ale także naczelni redaktorzy poważnych pism, autorzy akademickich podręczników, twórcy i realizatorzy osławionej „polityki kulturalnej PRL”. Przynajmniej, wlewu z nich osiągnęło w dziedzinie paszkwilu naprawdę dobre wyniki, zwłaszcza jeżeli uwzględnimy „całą złożoność ówczesnej sytuacji – szkalowanie autora, którego utwór (nie mówiąc już o ewentualnym tekście samoobronnym) wstrzymał Wydawca, zdjęła Cenzura czy przechwycił Celnik nie było łatwe, szczucie przeciwko nieobecnemu bądź milczącemu pisarzom nie przynosiło rasowemu polemice należytą mu satysfakcji...”

Trzymałko i Dzierżankiewicz znaleźli się w sytuacji o wiele korzystniejszej. Ich paszk-

wil nie trafiał w próżnię, przeciwnie. Zainteresowany czytelnik w każdej chwili mógł sięgnąć po kałkiewic analizowany utwór, by czynnie uczestniczyć w dziele zniszczenia dobrego samopoczucia jego twórcy, względnie w zniszczeniu samego dzieła – oba warianty szczegółowo opracowane przez recenzentów. Notabene z ich wskazówek jeszcze niedawno korzystał Wojciech Mann paląc na oczach widzów jeden z bestsellerów Rodana. Celnik czy Wydawca w niczym nie zagrażali, kioski oferowały pełny asortyment wydawnictw MONu, KAWu czy „Sportu i turystyki”, zaś Cenzor czuwał nad trwałością społecznego obiegu literatu-

Jacek Kopciński

Paszkwilant

ry, korzystając jedynie z oczywistego przywileju skreślenia samego paszkwilu. Do czasu – spółka wielbicieli książek Sokorskiego i Machejka „za obopólną zgodą” szybko przerwała współpracę z nadziemnym „Studentem”, by swój krytyczny proceder uprawiać w podziemnym „Biuletynie Informacyjnym” oraz w „Zapisie”.

Barańczak we wstępie do *Książek najgorszych* przysięga iż kryterium polityczne nigdy nie decydowało o wyborze ofiary jego prześmiewczych recenzji. Chętnie mu wierzymy, zgadzając się także z tezą, iż sam poziom językowy większości dzieł pisarzy reżimowych (nie mówiąc już o artystycznym – kicz fabrykowany z kilku zgranych elementów) stanowił wystarczające kryterium kpiny krytyka. Wszystkie te, wydawane i wznawiane w milionach egzemplarzy pseudokryminały, powieści antysensacyjne i nibyerotyczne romanse były po prostu belkotem i jawną prowokacją dobrze opłacanych i chętnie nagradzanych grafoma-

nów. Stąd ulubiona metoda konstruowania „paszkwilu” – nieustanne mnożenie cytatów opatrzonych skromnym lecz nadzwyczajnym komentarzem. Przeglądając kolejno mini-recenzje Barańczaka dochoodzimy do wniosku, iż rozbawiony lekturą peerelowskiej szmiry autor najchętniej odczytałby na głos co celniejsze fragmenty analizowanych utworów. W omówieniu niesłusznie – oczywiście – zlekceważonej powieści politycznej *Kroki*, odnajdujemy na przykład montaż fascynujących cytatów „erotycznych” – wszak erotyka nie od dziś decyduje o wartości literatury „niskiej”. Tym samym przewidujący recenzent nie tylko troszczy się o trwoniony na lekturę nieistotnych fragmentów czas czytelnika, ale także o jego pieniądze – dwadzieścia pięć złotych to cena książki Sokorskiego (o czasy!) i równowartość dwóch kostek pod każdym względem zdrowszego twarożku...

Czytanie na głos, na przykład przez telefon, w gronie przyjaciół, jednak raczej w domu niż przy kawiarnianym stoliku – to chyba także najlepszy „styl odbioru” recenzji Barańczaka. Niezmienny od lat, mimo iż waga, a przede wszystkim funkcja tych krytycznoliterackich żartów z pewnością już inna niż dawniej. Żart krytyka-prześmiewcy, literacka zabawa w paszkwil – bo w takich kategoriach należy, jak sądzę, oceniać satyryczną działalność Trzymałki i Dzierżankiewicza – straciły obecnie swój karnawałowy wymiar społecznej, a raczej środowiskowej psychoterapii. Dowcipne szkice nadal bawią, nie przynoszą jednak, co zrozumiale, tej szczególnej satysfakcji, jaką wywołuje kpina z oficjalnie popieranego głupstwa, za którym ukrywa się nie tylko koniunkturalizm, ale także cyniczne kłamstwo wsparte poczuciem niczym nie ograniczonej władzy.

Literatura brukowa nie od dziś stanowi przedmiot zainteresowań naukowców, zarówno teoretyków sztuki jak i socjologów, jednak pomysł Barańczaka, by przyjrzeć się

film

Huzia! Huź! Mamy go! Tak, proszę Państwa. Stało się. Przyłapano mnie. Z całą surowością mnie przyłapano. Tego, czego nie udało się innym, dokonała Kazimiera Szczuka. Otóż w artykule „Utalentowana kobieta” (TL nr 9) ogłosiła, że po redakcji Tygodnika Literackiego krąży widmo barańczakizmu, a osobą, która najbardziej od ukąszenia barańczakowskiego ucierpiała, jestem właśnie ja. Oczywiście, barańczakizm sam w sobie, to świetna rzecz. Dopiero, gdy ktoś świętokradczo i niezdarne (koniecznie niezdarne) usiłuje wpisać się w jego tradycję – powstają „belkotliwe”, „niechlujne”, „epigońskie” recenzyjki. To ja właśnie („uczony w piśmie”) jestem autorem jednej z nich (TL nr 7).

Wystarczy już. Od żartobliwych akcydensów przejdźmy wreszcie do istoty rzeczy. A rzecz poważna, by nie powiedzieć smutna. Człowiek z człowiekiem – nie rozumieją się wzajemnie. Mimo słów. Bardzo wielu słów. Nie mogą się porozumieć. A jak zaczną używać metafor, to już w ogóle nie. Trzeba więc tłumaczyć i wyjęzyczać się. Choć i tak wiadomo, że wszystko na nic. To smutne. Bardzo smutne: Szczuka walczy z wiatrakami tyleż groźnymi, co urojonymi.

Doprawdy nie chodzi o to, by stwierdzić czy Julia Roberts jest ładna czy nie. Doprawdy nie chodzi też o udowadnianie (z oburzeniem czy bez), że głupkowata rozrywkowość jest głupkowata i rozryw-

kowa. Napisałem o *Pretty woman* Garry Marshalla, bo brzydzi mnie dzisiejsze kino. Ale nie dlatego, że w ogóle posługuje się gatunkiem prościutkiego znaczeniowo melodramatu. Nie dlatego też, że karmi się koktajlem odwiecznych i lekkostrawnych schematów. To żadne grzechy. To co mnie mierzi, to pustota formuł, które niegdyś cokolwiek znaczyły. Jeśli *Batman* zgarnia kilka „Oscarów”, a zaraz po nim tę samą figurkę otrzymuje (za całokształt twórczości) Akira Kurosawa – mamy wtedy do czynienia z przerażającym świadectwem degradacji, roz-

na. Ktoś powie, że „Oscary” i frekwencja kinowa nigdy nie były miernikiem artystycznej jakości. Uznajmy, że zgoda (choć... czy nie powinny być?), ale powiedzmy sobie wreszcie, że takie informacje, takie kulturowe sygnały – nie są izolowane, nie funkcjonują w kontekstualnej próżni, podobnie jak kulturowe fakty, których dotyczą. Uczyl już tego bodaj Stanisław Brzozowski (vide: Nobel dla Sienkiewicza). Kto beztrasko twierdzi (jak Kazimiera Szczuka), że *Ładna kobieta* stanowi pod tym względem wyjątek i jest „najniewinniejszym pod słońcem”

kochankowie X muzy

Postbarańczakista przyszpilony

padu pewnej formuły kulturowej. Na naszych oczach rozsypują się wszystkie dotychczasowe hierarchie. Słowa: wielka, prawdziwa sztuka – tracą swój dawny sens. Rodzi się nowy, jakby trochę bezsensowny. Dotychczasowe kryteria ocen i środki opisu – stają się śmiesznie bezużyteczne. Jeśli dowiadujemy się, że *Ładna kobieta* była najbardziej kasowym filmem 1990 roku w USA (gwoździ ścisłości: pod koniec sezonu okazało się, że jest numerem 2 na listach rankingowych) – stajemy wobec podobnego faktu. Ta informacja znaczy po prostu coś zupełnie innego, niż – o ile przyjąć pewne założenia – powin-

filmikiem (i dlatego trzeba „dać jej spokój”) – dowodzi swojej niedojrzałości, infantylności w traktowaniu kultury i stawianych jej postulatów. To nie zabawa. Tu chodzi o życie!

Jak już powiedzieliśmy *Ładna kobieta* i jej banalne walory – nie istnieją w kulturowej próżni. Jaki więc jest ów kontekst, kontekst, który mnie przeraża, brzydzi i powoduje, że w ogóle zastanawiam się nad takim filmem?

Otóż jeszcze do końca lat siedemdziesiątych istniała alternatywa dla filmów w rodzaju *Ładnej kobiety*. Można było wyciągnąć, jak królika z kapelusza – dzie-

ła Antonioniego, Felliniego, Bergmana, Herzoga, Tarkowskiego, Altmana i powiedzieć: o nie!, ja wolę takie kino i to właśnie kino uważam za lepsze. Dziś – wobec fizycznego braku jednego z członków tej alternatywy i wobec tryumfalnej powszechności gremlinsów i Schwarzeneggerów – mogę po prostu nie pójść do kina. Mogę dumnie odmówić („Potęgę smaku”, owszem, czytałem), ale będzie to zaledwie aktem tchórzostwa. Nie ma bowiem rozwiązania poza kulturą (to także Brzozowski).

Ale to nie koniec historii. Bo nie (naprawdę) nie mając przeciwko głupawym fabułkom – w końcu wybrałem się na tę *Ładną kobietę*. I co zobaczyłem? Bezcelność! Głupia fabułka, miast poprzestać na głupkowatości i fabułkowatości – udaje, po tyśiąckroć udaje, dobre, wartościowe, znaczące kino. Jakim cudem? To proste: za każdym kadrem tego filmu kryją się miliony par oczu zachwyconych widzów, gniojących się w ścisłu swojej masy. Oto argument. Oto prawo. A tymczasem kino to – ani wartościowe, ani znaczące (co do tego, zgadzamy się z Kazimierą Szczuką bez słów) – ani też dobre, tzn. sprawnie, błyskotliwie, dowcipnie, ładnie (skąd, u licha, przyplątał się Szczuce ten nieszczęsny Szancer?) – zrobione. Dlatego się zbuntowałem. Dlatego protestuję.

Skoro nie ma już Bergmana – niech będzie Kaczor Howard czy Donald. Ale ma być śmieszny gagowo, apetyczny fabularnie i nienudny rozrywkowo. I, co najważniejsze – niech nie udaje Bergmana. Ta maskarada może się skończyć śmiercią lub kalectwem. Naszej kochanej, europejskiej kultury.

M.W.

Czechosłowacki Ośrodek Kultury i Informacji w Warszawie

ogłasza konkurs

dla początkujących tłumaczy w zakresie literatury czeskiej i słowackiej, obejmujący dzieła powstałe po roku 1945. Konkurs obejmuje dwie kategorie: 1. Przekład prozy, 2. Przekład poezji, i dotyczy tak tekstów według własnego wyboru, jak tekstów zadanych przez jury. Uczestniczyć mogą tłumacze, którzy jeszcze nie opublikowali żadnej książki. Bliższe informacje: tel. 29-72-71, w godzinach 8-16.

Sprostowanie

W 10 numerze „TL” z 10 marca „Śmigło news” informowały, że „w galerii na Placu Zamkowym otwarto wystawę zdjęć Krzysztofa Millera”. Chodziło rzecz jasna o wystawę zdjęć reportażowych „Gazety Wyborczej”. Ich autorami – oprócz Krzysztofa Millera – są: Jerzy Szczęsny, Sławomir Sierżputowski, Tomasz Wierzejski i Piotr Wójcik.

Wszystkich za tę pomyłkę przepraszamy.

Redakcja

Sprostowanie

W opublikowanej w nr 10/91 rozmowie z Radkiem Sikorskim z winy redakcji pojawił się przykry błąd. Oczywiście w ośmioletniej wojnie Iranu z Irakiem zginęło milion, nie zaś osiem milionów ludzi. Mego Rozmówcę oraz Czytelników przepraszam.

Wojciech Tomczyk

polemiki

Błoński, Śpiewak, Tyś...

Comparaison n'est pas raison.

Krzysztof Koehler („brulion”)

brulion kw

w najnowszym numerze:

**FLAUBERT,
Słownik komunałów
HEANEY
GIRARD
PODSIADŁO**

oraz „Z troski o zdrowie proboszcza”, „Joga zachodu”, „Przez żyłę do serca”

ADRES:

KRAKÓW 61 SKR. POCZT. 325

BIURO

czynne od **poniedziałku do piątku** od 14.00 do 16.00 (czwartek 16.00-18.00)
SCK „ROTUNDA” ul. 3 Maja 5, IIp

TELEFON

(0-12) 33 61 60 w. 6

● Polskie Nagrania lada dzień rozpoczynają produkcję kasety video zawierającej fragmenty koncertu z udziałem „Apteki”, „Bielizny”, „Canady”, „Call System” i „Totaru”. Całą operację finansuje firma InfoService z Gdańska. ● W Teatrze Studio 1 III odbyła się premiera sztuki „Kły zbrodni” Sama Sheparda. Reżyseruje przybyły z USA David Schweizer. Tłumaczenie (w tym 6 piosenek) Karol Jakubowicz. Wśród aktorów: Anna Chodakowska, Monika Świtaj, Dariusz Jakubowski. Powodem, dla którego wspominał o tym w „śn” jest sześciuosobowy zespół rockowy grający na żywo w czasie spektakli. Skład: Kostek Joriadis („Lady Pank”, klawisze), Jacek „Dżekson” Onaszkiwicz („Immanuel”, gitara), Robert Wrona („Immanuel”, perkusja), Aleksander Korecki (sax), Paweł Piotrowski („Dezterter”, bas). Rannego w wypadku samochodowym Roberta Materę („Dezterter”) tymczasowo i wyjątkowo (gitara) zastąpił Bodek Kowalewski („Kayah”).

● Kozuchów ● Ziggy Stardust z Kozuchowa, filar zespołu „Rozkrock”, zawsze doceniał komercyjną stronę szolbiznesu. Oto co proponuje dział sprzedaży kon-

Kraków ● Odbyły się zapowiadane demonstracje Federacji Anarchistycznej. W środę 6 III o 15.30 trzydziestoosobowa grupa manifestantów wkroczyła do gabinetu wojewody krakowskiego. Okupacja urzędu trwała godzinę. Przez okna wywieszono transparenty (hasła-powszechne uwłaszczenie pracowników i natychmiastowe zniesienie popiwku). Sam wojewoda zniknął, a do demonstrujących wyszedł sekretarz. Całe wydarzenie obserwował liczący 150 osób tłum gapiów i oddział policji, która nie interweniowała. Dzień później – 7 III – WKU na Kozetek pikietowała kilkusobowa grupa działaczy Federacji Anarchistycznej i ruchu Wolność i Pokój. Żądano cofnięcia rozporządzenia o wcielaniu jedyńskich żywicieli oraz przyznawania służby zastępczej na życzenie zainteresowanego. W tej chwili wiadomo o co najmniej 7 osobach, którym odmówiono prawa do odbycia służby zastępczej (Poznań, Wrocław, Rzeszów, Kraków). W samym Krakowie najbardziej „twardogłowe” są komisje na Krowodrze i w Hucie. Szef krakowskiej WKU po rozmowie z pikietującymi obiecał wywieszenie w podleg-

ŚMIGŁO-NEWS

cernu Rozkrock: kasety magnetofonowe: *Triumf der Liebe, Rozkrock-komercja awangardy i awangarda komercji; video Sex i breakdance*. Publikacje *Problemy i zagadnienia* (religia, życie, śmierć, sex, stardyzm), *Rozkrock-piosenki na każdą okazję, W drodze do pieniędzy, kobiet i sławy*. Komixy *Szajba, Terror Sidoraka, Sidorak-potwór z głębin, Drakul Sidorak, King Sidorak Kong, Strzały w kosmosie o zmierzchu*. „Z dzisiejszej popkultury przetrwa tylko muzyka disco i komixy” stwierdził Ziggy. Wspomniane produkty rozprowadza i zaproszenia dla zespołu „Rozkrock” na koncerty przyjmuje Andrzej Tokarski, Kozuchów 67-120 Wolności 17 m 1. (Uwaga: przesyłek adresowanych: „Ziggy Stardust” Poczta nie chce doręczać).

● Łódź. ● Rozłam we Wspólnocie Leecezeń! Publiczne pranie brudów! Za tydzień sensacyjne objawienie teorii półlecezenia! Oto treść oświadczenia przesłanego pocztą pneumatyczną z Łodzi. „Z powodu zerwania więzi z macierzą, wrodzonej wady mózgu, szkalowania Wspólnoty Leecezeń w prasie polonijnej, schorzeń o podłożu nerwowym, chloromato-pastii, nadużywania pieczętki służbowej, kwestionowania prezesury Andrzeja Miastkowskiego, niedomagań laryngologicznych i niezłożenia przeprosin na piśmie zasadną wydaje się decyzja o wydaleniu z szeregu Wspólnoty Leecezeń Michała Gralaka. Podpisano: Prezes Wspólnoty Leecezeń Andrzej Miastkowski.

nych mu komisjach informacji dotyczących służby zastępczej. Biernym świadkiem pikiet był oddział Żandarmerii Wojskowej.

Gdańsk-Warszawa wspólna sprawa. ● Zarejestrowana została Fundacja „Totart”. Fragment wniosku o rejestrację: „Fundacja działa na rzecz zbliżenia estetyki z egzystencją. Ma za cel wspomaganie pierwiastka twórczego w postaci sztuki, a poprzez nią propagowanie filozofii i metod twórczego stosunku do rzeczywistości, technik medytacyjnych i autoterapeutycznych oraz wpływanie w kierunkach pogłębionego istnienia.” Zaiste, poszerzyły się granice swobodnego wyrażania myśli w tym kraju. Wśród gdańskich prawników zarejestrowanie przez minister Cywińską Fundacji „Totart” uznano za precedens porównywalny do wcześniejszej o 20 lat notarialnej sprzedaży jamnika w Sopocie.

Warszawa. ● Pietia z QQRQYQ zapowiada otwarcie drugiej już „Krajowej Giełdy Czadowej”. Miejsce i czas: Szkolny Ośrodek Socjoterapii (SOS) Grochowska 194/196, 16 III, w godzinach 13-16, wstęp 1000 zł. Przygotujcie większą gotówkę. Do kupienia będą (taniej niż w sklepach) płyty „Armii”, „Sex Bomby”, „Inkwizycji”, „Deztertera” (w trzech wersjach vinyl, CD, picture disc); a także czadowe CD z zagranicy i stopy wydawnictw, pism, fanzinów.

do druku podał: Maciek Chmiel

Prenumerata „Tygodnika Literackiego”

Cena prenumeraty krajowej „Tygodnika Literackiego” kwartalnie (13 numerów) – 32500 zł, zagranicznej kwartalnie – \$19,5, półrocznie – \$39, rocznie – \$78 lub równowartość w walucie lokalnej (wysyłka pocztą lotniczą).
Możliwa jest również prenumerata mniejszej ilości numerów z zaznaczeniem, od którego numeru została dokonana wpłata.
Cena pojedynczego egz. w prenumeracie wynosi 2500 zł lub \$1,5.

Wpłaty prosimy kierować na konto:

„CAMELOT” spółka z o.o.
PBK III Oddział Warszawa
370015-971241-136

Informacji udziela
„CAMELOT” Warszawa, ul. Rakowiecka 4, tel. 48-38-09

TYGODNIK LITERACKI

niezależne pismo poświęcone sprawom kultury

REDAKTOR: Waldemar Gąsper

ZESPÓŁ: Natalia Adaszyńska, Anna Bokiej, Melania Dzieduszycka, Jakub Ekier, Rafał Grupiński, Dorota Jarecka, Rajmund Kalicki, Tomasz Królak (sekretarz redakcji), Małgorzata Łukaszk, Marta Makowiecka, Łukasz Malachowski, Agnieszka Piwowarska (sekretarz redakcji), Jan Stachowski, Marian Stala, Robert Tekieli, Wojciech Tomczyk.

WSPÓŁPRACOWNICY: Marcin Baran, Bogumiła Berdychowska, Marek Bieńczyk, Marta Bratkowska, Krystyna Choloniewska, Agnieszka Dybek, Grzegorz Filip, Krzysztof Koehler, Jacek Królak, Małgorzata Kruszewska, Marta Makowiecka, Tadeusz Nyczek, Agnieszka Pawłowska, Dorota Piwowarska, Brygida Pütz, Bożena Szymula, Jacek Rajna, Mateusz Werner.

Przegląd Archeologiczny Metafizyki Społecznej „Śmigło” redaguje Zbigniew Sajno.

Redaktor graficzny: Marzena Włodarczyk. Korekta: Łucja Andrzejczak, Krystyna Okoniewska, Wojciech Sempka.

Wydawca: FUNDACJA NA RZECZ WYDAWANIA TYGODNIKA LITERACKIEGO.

Skład: „PRINT”, Warszawa, ul. Kutnowska 10. Druk ZG „Dom Słowa Polskiego” Warszawa.

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie możliwość zmiany tytułów nadesłanych tekstów oraz skrótów w publikowanych listach do redakcji.

Adres redakcji: 00-538 Warszawa, ul. Wilcza 1/21, tel. 21-12-79

Społeczeństwo (...) uprawia tyranie społeczną straszniejszą od wielu rodzajów politycznego ucisku: albowiem chociaż nie grozi zazwyczaj tak surowymi karami, to pozostawia mniej sposobów ucieczki, wnika o wiele głębiej w szczegóły życia i ujarzma samą duszę. Dlatego ochrona przed tyranją urzędnika nie wystarcza; potrzebna jest także ochrona przed tyranją panującej opinii i nastroju; przed skłonnością społeczeństwa do narzucania za pomocą innych środków niż kary prawne, swoich własnych idei i praktyk jako reguł postępowania tym, którzy się z nimi godzą; do krępowania rozwoju lub, jeśli można, zapobiegania powstaniu jakiegokolwiek indywidualności nie stosującej się do jego zwyczajów oraz do zmuszania wszystkich charakterów, aby się kształtowały na jego modłę. Istnieje granica uprawnionego naruszania niezależności jednostek przez opinię ogółu i znalezienie tej granicy oraz jej utrzymanie wbrew wszelkim zakusom jest równie koniecznym warunkiem należytego układu stosunków ludzkich, co ochrona przed politycznym despotyzmem".

Cytowany fragment pochodzi z rozprawy Johna Stuarta Milla „O wolno-

strony „tyranii urzędnika”, mniejszą zwracano uwagę na niebezpieczeństwa płynące ze strony „tyranii panującej opinii i nastroju”. Czyli mało zajmowano się tym, co jest charakterystyczne dla myśli liberalnej, a co zarazem jest już trwałym składnikiem kultury europejskiej, a co niekoniecznie wiąże się z ideologicznymi opcjami: powiązaniem tych dwóch zagrożeń wolności. Całkowite zniesienie obu tych zagrożeń nie jest oczywiście możliwe i jedynie niepoprawni utopiści na to liczą. Zarówno ograniczenia prawno-administracyjne jak i presja grupowa są konieczne dla funkcjonowania społeczności ludzkiej. Rzecz w tym, by nie przybrały nadmiernych rozmiarów i – przede wszystkim – by je dostrzec i przed nimi się bronić. Owa możliwość obrony i łączne traktowanie obu zagrożeń wynikają również z rzeczywistych powiązań wspomnianych źródeł presji na autonomię jednostki. Częstokroć duża presja „tyranii urzędnika” powoduje również silną przeciwpresję „tyranii panującej opinii i nastroju” – obrona przed opresywnością administracji i głęboko ingerujących w życie społeczne instytucji państwowych prowadzi do ucieczki

Niepokój Johna Stuarta Milla

ści”, opublikowanej w Polsce po raz pierwszy w 1864 roku. Esej ten jest jedną z kanonicznych lektur wyznawców ideologii liberalnej, ale można śmiało uznać, że dla wszystkich jest wart uważnego i wielokrotnego czytania. Niezmienna wartość dzieła J.S. Milla polega na zawartej w nim oryginalnej analizie dwóch niebezpieczeństw zagrażających wolności i niezależności człowieka. Pierwsza groźba to „tyrania urzędnika” – są nią wszelkie ograniczenia dla jednostki wynikające z rygorów prawa i siły administracyjnej, szczególnie wyraźne w nowoczesnych państwach.

O tym jednak pisano sporo przed Mille i bynajmniej nie tylko na tym spostrzeżeniu polega odkrywczość jego myśli i atrakcyjność oglądu świata. Wzrost tej optyki wynika z dostrzeżenia przez Milla również drugiego niebezpieczeństwa, a właściwie na ujmowaniu obu tych niebezpieczeństw łącznie i współzależnie. Wspomniana druga groźba to „tyrania panującej opinii i nastroju” – czyli obyczajowość i przemożny nacisk wywierany na jednostkę przez grupę, wiele grup lub przez całe społeczeństwo. Nie od rzeczy byłoby tu użycie słowa: „środowisko”.

Nie jest dobrze, gdy przecenia się jedno z tych niebezpieczeństw, a bagatelizuje drugie. Niezależność jednostki wymaga uważnej ochrony zarówno przed nadmierną i niczym nie ograniczoną „tyranją urzędnika”, jak i przed nieokreśloną „tyranją panującej opinii i nastroju”. Wolność współczesnego człowieka ograniczana jest zarówno przez władzę państwową, jak i przez wpływ otoczenia, rodzącą pokusę konformizmu.

Dużo w odległych i ostatnich latach poświęcano uwagi zagrożeniom niezależności intelektualnej występującym ze

w konformizm życia grupowego. Niepostrzeżenie presja grupowa może stać się równie silna jak presja instytucji, a nie rzadko i bardziej zniewalająca – choć będzie się to działo inaczej: mniej dostrzegalnie, lecz bardziej systematycznie.

Tylko z pozoru jest paradoksem to, że przed „tyranją urzędnika” zwykle łatwiej się bronić, niż przed „tyranją panującej opinii i nastroju”. Policjant jest bowiem widoczny, nawet tajniak, przy pewnej wprawie, nietrudno rozpoznać. Natomiast presja środowiska dociera zewsząd, przenika przez skórę, czaszkę, jest w powietrzu. Nacisk psychiczny bywa przemożny, szczególnie silny był w minionym dziesięcioleciu, bo wynikał z manichejskiego wzorca porządkowania świata. Mill odrzuca taki schemat, proponuje trudniejszą drogę. Przyjmowanie własnych poglądów za jedynie słuszne wynika z przekonania o własnej nieomylności; o uleganiu presji chwili, choćby trwała ona miesiącami lub nawet latami. A przecież „epoki nie są bardziej nieomyślne od jednostki, ponieważ każdy wiek wypowiedział wiele opinii uznanych przez następne wieki nie tylko za fałszywe, ale i za niedorzeczne”.

Niezależność człowieka jest tylko fragmentem jego wolności. Troską Milla jest, by dążąc do wolności zarazem jej nie zagubić. By „– dopowiedzmy –” zabiegając o suwerenność zbiorową nie narażać wolności *sensu stricto*, czyli wolności jednostkowej. Esej ojca liberalizmu wspólnie ilustrują przykłady z naszej historii, – również tej najnowszej, budowanej biografiami żyjących. Mam na myśli niekoniecznie politykę – lecz postawy i świat wszelkich idei.

Paweł Kozłowski

Rozróżba w globalnej wiosce

Konflikt nad Zatoką Perską, w której więcej ropy niż H₂O, odzwierciedla konflikt nad Zatoką Gdańską, której fale zalewają od jakiegoś czasu warszawskie baseny. Niczym meduza, topielec czy Atena z czaszki Zeusa, gdańskie fale wyrzucają kurioza na stołeczny grunt zwany tu po iracku lotnym piaskiem.

Grunt to bunt, jak mawiał młody Leibniz, dojrzały Hegel i stary Engels. A grunt usuwa się pod nogami i to nie tylko Husajnowi.

Prezydent Wałęsa, którego nie są w stanie wyczuć żadne radary, dokonuje nalotów dywanowych na zakłady pracy. Związki zawodowe dokonują zmasowanych bombardowań na popiwki, a rząd Bieleckiego wziął już pierwszych jeńców. W Telewizji Polskiej pokazano kilku żołnierzy Mazowieckiego przechwyconych przez gwardię prezydencką. Mówili coś nieskładnie, bili się w piersi i zapewniali, że są przeciwni „wojnie na górze”.

Oczytani w dziełach Reymonta i Mc Luhana chłopcy odgrają się, iż są gotowi do ofensywy lądowej i niebawem – gdy zapieje kur lub zadzwoni generał Swarczkopf – ruszą. A jak ruszą, to w myśl idei globalnej wioski – dojdą do Kuwejtów albo jeszcze dalej (pewnikiem za Ural).

W Arabii Saudyjskiej PGRy wywalczyły już ceny gwarantowane i konstytucyjnie zapewnioną opłacalność produkcji. Saudyjczycy zmian własnościowych nauczyli się z Koranu, dzięki temu proces prywatyzacji sklepów „Społem”, rozbić koncernu RSW oraz finansowanie twórczości Adama Hanuszkiewicza mają dawno za sobą.

Amerykanie żalują podobno, iż wojna o ropę nie toczy się nad Wisłą. Miejsca może nie tak dużo, ale za to ludzie bardziej gościnni, a dziewczyny otwarte i przystępne niczym święteżanki, i co

bardzo ważne nie zakrywają twarzy jak Saudyjki. To, że kulturowo jesteśmy Ameryce bliżsi też nie jest bez znaczenia. Kościuszko z Pułaskim palili wszak tylko Marlboro i zjadali chipsy, a Ronald Reagan w rewanzu objadał się wyłącznie bigosem słuchając godzinami Chopina z compactu. Na dodatek słowo „taxi” wymawia się tak samo w obu naszych językach. Ponadto nazwiska takie jak Miłosz, Głowacki, Broniarek czy Piasecka-Johnson mówią o naszych kontaktach z Ameryką wiele jeśli nie wszystko.

Różnice klimatyczne między Polską a Irakiem nie są aż tak wielkie. Temperatura obrad naszego sejmiku bliska jest momentami poziomom Celsjusza w bunkrze Husajna podczas nalotu, a gestykulacje i poza niektórych posłów przypominają zbombardowane irackie mosty i wyrzutnie.

Szkoda, że teraz w telewizji tak mało pokazują Mazowieckiego. Pan Tadeusz wysokością przypominał szyb wiertniczy. Rekompensuje ten brak sam prezydent, którego Ludzie z Bliskiego Wschodu i Dalekiej Północy biorą często za jedną baryłkę ropy.

Wprawne oko dostrzeże w Warszawie również echa innych konfliktów. Trwają na przykład zacięte walki pod wieżą telewizyjną. W jednej z potyczek gwardia prezydencka ustrzeliła „Obserwatora”. Zrobił się z tego wielki szum, a przecież prawo międzynarodowe nie zabrania strzelania do zwiadowców.

Sprzeczne doniesienia z Bagdadu i z Warszawy powodują, iż Biały Dom stać już tylko na czarny humor. Przy takim nastawieniu istnieje obawa, że pustynna gorączka osłabi czujność strzelców, którzy pomylą meczety z Pałacem Zimowym a Stocznice Gdańską z Tel-Awivem.

Krzysztof Skiba

